Dodatek do Nr. 346 „Głosu Narodu".

Kraków, 24. grudnia 1933 r. 1.

GŁOS LITERACKO - NAUKOWY

wychodzi w niedzielę jako bezpłatny dodatek „GŁOSU NARODU"

Boże Narodzenie w sztuce

I porodziła Syna swego pierworodnego, a owinęła Go w pieluszki i położyła Go w żłobie, przeto iż miejsca nie mieli w gospodzie". Oto jedyne zdanie w Ewangelji św. Łukasza (2,7) które bezpośrednio odnosi się do tego najważniejszego dla chrześcijaństwa faktu — Narodzenia Zbawiciela. Skądże więc powstaje taka różnorodność przedstawień Narodzin Dzieciątka w sztuce czem wytłumaczyć można wprowadzenie przez artystów stale powtarzających się pewnych motywów ikonograficznych — gdzie szukać uzasadnienia pojawiania się na obrazach i rzeźbach, choćby tak częstych motywów jak osła i wołu zaglądających do żłóbka, pastuszków składających hołd Nowonarodzonemu i t. p.?

Jak wiadomo fantazja artystów epoki starochrześcijańskiej i średniowiecznej, w której wytwarzają się zasadnicze typy przedstawień ikonograficznych, była skrępowana dogmatami wiary i przepisami liturgicznemi, które nie pozwalały na swobodną grę wyobraźni. Uzupełnienie cytowanego krótkiego Wersetu znajdowano w apokryfach, dodatkach do Ksiąg Starego i Nowego Testamentu wprawdzie nie uznawanych przez Kościół Chrześcijański za autentyczne, oraz w licznych a pełnych poezji legendach.

Źródłem wiadomości o Narodzeniu Dzieciątka była Apokryficzna Ewangelja Pseudo-Mateusza, która jak wszystkie pisma tego rodzaju miała pierwszorzędne znaczenie w kształtowaniu się poezji średniowiecznej sztuki plastycznej. — Anonimowy autor wzmiankuje np. o ośle i wole — tak nieodłącznie zrośniętych ze sceną Narodzin, które jako łagodniejsze ze zwierząt, pierwsze, jeszcze nawet przed ludźmi, kornie chyliły się przed Nowonarodzonem Dzieciątkiem. Najdawniejsze przedstawienia Narodzin pojawiają się w sztuce starochrześcijańskiej w 4—5 wieku i występują na sarkofagach oraz w malowidłach w Katakumbach św. Sebastjana.

Dzieciątko wyobrażone jest tutaj w Koszyku lub pomieszczone na pewnego rodzaju stole, jakby podwyższonym ołtarzu. Obok Niego leży Madonna siedzi zadumany św. Józef. Cała scena jest jakby odtworzona w kościele, ołtarz z Jezusikiem jest jakby odrazu już ołtarzem ofiarnym. Czasem ta symbolika nabiera jeszcze akcentów wyraźniejszych, nad stołem, a raczej jakby z niego wyrasta Krzyż z Umęczonym Zbawicielem.

Ta zasadnicza forma przedstawienia ukształcona pod wpływem bizantyjskim i wschodnio-rzymskim przetrwała z pewnemi zmianami i dodatkami aż do 13 wieku, dostając się za pośrednictwem Rawenny i Dolnych Włoch na Zachód Europy. Wspomniane, pierwsze ujęcie sceny Narodzin jest pozbawione wszelkiej czułości.

Ciekawe jest śledzić jak pomałeńku do tej pierwszej formuły ikonograficznej, zaczynają się wsączać uczucia ludzkie, jak to Madonna wyciąga rękę ku Dzieciątku, jak głaszcze Je ruchem zdradzającym, budzącą się miłość macierzyńską, czasem odsłania pierś swą, aby Je do niej przygarnąć. Św. Józef traci swą rolę biernego zadumanego obserwatora, stara się być czynny pożyteczny, niesie wiązkę drew, grzeje wodę na kąpiel, przynosi pożywienie, sprowadza do N. Marji Panny opiekunki, które często zobaczymy w malowidłach i rzeźbach zajęte około Dzieciątka.

Około połowy wieku XIV. w krajach Europy najważniejszych, jak we Włoszech, Francji, Niemczech, Niderlandach, ginie motyw izby, czy jakiegoś nieokreślonego wnętrza, w którem odbywała się scena narodzin, Matka Boska teraz na kolanach adoruje Dzieciątko nagie, leżące na ziemi, na rąbku płaszcza. Obok Madonny w kolnej postawie zjawia się św. Józef, często pastuszkowie i wierny lud. Motyw adoracji stanie się w sztuce ówczesnej powszechny i ulubiony, ukazują go nam artyści na tle krajobrazu z daleką i piękną perspektywą, czasem Marja klęczy przed ruinami szopy przykrytej słomą, podpartej symboliczną kolumną, o którą miała się wesprzeć w chwili słabości — Dzieciątko czasem leży nie na płaszczu, a poprostu na skromniutkiej wiązce siana. Mnożą się drobne fakty anegdotyczne, wzbogaca czynnik narracyjny, pastuszkowie sprowadzają niewiasty, aby po kolon złożyły Panu, przynoszą swe skromne dary, korony uwite z polnego kwiecia, białe owieczki, misterne piszczałki — nie śmieją czasem zbliżyć się do Nowonarodzonego, zatrzymują się w oddali, czekając na dobrotliwe przyzwolenie Marji.

Wzbogacenie ikonografji chrześcijańskiej wogóle, a w danym wypadku motywu Narodzin, dokonywa się pod wyraźnym i niezmiernie ciekawie się zaznaczającym wpływem teatru religijnego czy też dramatu liturgicznego

Misterjum Narodzin, obok Misterjum Męki Pańskiej należało do najważniejszych. Autorzy dramatów przedstawiających życie Chrystusa, czerpali swe natchnienie z Ewangelji, Apokryfów i Złotej Legendy, następnie zaś sięgali do niezwykle ważnej w średniowieczu książki: do „rozmyślań nad życiem Chrystusa" pseudo Bonawentury.

Autor tego dzieła obdarzony silnym instynktem dramatycznym, wplata w swe opowiadanie mnóstwo wyimaginowanych dialogów, zabarwia je poezją i wzruszeniem, umieszcza szereg rozczulających drobnych szczegółów, które stanowią nieoceniony wprost materjał dla twórców Misterjów. Misterja zaś rozgrywające się w oczach wszystkich, a więc i artystów malarzy i rzeźbiarzy, wpłynęły decydująco na wzbogacenie przedstawień sceny Narodzin Dzieciątka.

Na rozbudzenie tkliwości uczuć, których wzrost ciągle daje się zauważyć w obrębie średniowiecza wpłynął oczywiście ruch franciszkański, a nawet odnośnie do Narodzin Dzieciątka i sam św. Franciszek, który sam daje przykład tej czułości, biorąc ponoć w każdą Noc Bożego Narodzenia Dzieciątka ze żłobu, kołysząc je w swych świętych, naznaczonych później stygmatami, rękach.

Powszechne pragnienie zbliżenia się do Matki Bożej i kontemplacji Dzieciątka Jezus również odnajduje swój wyraz w sztuce. Uczucia często kobiece macierzyńskie dominują na końcu średniowiecza, jak mówi znakomity badacz sztuki religijnej Emile Male. Nawet hymny śpiewacze na cześć Marji, aprobowane przez Kościół są żywą manifestacją tych uczuć „gdy widzę Dzieciątko na rękach Matki, moje serce napełnia się radością".

Renesans, jak we wszystkich przedstawieniach Matki Bożej, tak i w scenie narodzin, podkreśla właśnie ów motyw macierzyństwa, odczuwa mistyczną gloryfikację, zaznacza natomiast świeckość zjawiska, a nie jego nadziemskość, znowu powraca wnętrze, ale już wyraźnie zlokalizowane, bogato wyposażone w świecki aparat akcesorjów i piękne dekoracje.

Wytworzony w średniowieczu zasadniczy typ ikonograficzny przedstawień sceny Narodzin Dzieciątka Jezus, łącznie ze zmianami w stosunku do postaci Matki Bożej wprowadzonej przez Odrodzenie, przetrwał aż do czasów nowożytnych.

Każda epoka wprowadza wprawdzie pewne zmiany, zgodne z ogólnym charakterem swej sztuki, dotyczą one jednak przedewszystkiem problemów formalnych, jak kompozycji obrazu, oświetlenia, barwy, nie odnoszą się jednak przeważnie do strony ikonograficznej, która zasadniczo pozostaje niezmieniona, uzupełniona tylko fantastycznemi nieraz szczegółami wysnutemi z nieskrępowanej już obecnie przepisami wyobraźni artystycznej.

Wśród naszych rozważań nie zostały wymienione nazwiska artystów, którzy podejmują temat Bożego Narodzenia dlatego, że tych nazwisk byłoby za wiele, że nie pomieściłyby się, nawet najważniejsze, w ramach skromnych tego artykułu. Od anonimowych artystów średniowiecza począwszy, zdobiących rzeźbami mury katedr, malowidłami na szkle i miniaturami zawartemi w pobożnych księgach poprzez wielkie indywidualności twórcze, znakomite imiona artystów renesansu aż do baroku, temat Narodzin znajduje często wielokrotnie nawet powtarzane przez jednego artystę zastosowanie. Nie braknie też i scen Narodzin w polskich miniaturach i polskiem malarstwie cechowem.

Dr. J. PUCIATA-PAWŁOWSKA.

Bolesław Eustachiewicz

Przyjdź, Panie...

Przychodzi chwila w przeżyciach człowieka
Chwila zamyśleń nad drogą przebytą,
Co w przestrzeń rzucona szybko ucieka
Tam — gdzie ostatnie już składa się myto!..

Są chwile w życiu jak krew żywa, ciepła:
Te płomienieją, by zorza poranna!
Są czarne mściwe: okrutny płód piekła,
Co gorą chciwie, jak zeschła sawanna.

Są chwile tkliwe, słodkie, macierzyńskie,
Z których się czerpie otuchę do życia
Wtedy się lekkim staje kamień młyński,
Co życie miele nam już od powicia.

Są chwile — chwilki niewinne, dziecięce,
W których weselem rozdzwania wkrąg wszystko.
Drży cudem każda godzina poczęcia!
A szczęścia zjawa — jakże jest nam bliską.

Są chwile złudnych i zawrotnych marzeń
Zwiewnych, by pustynna fata morgana...
Chwile czarownych, przygodowych zdarzeń:
Jak przebaczenie śmiertelnego wroga!

Najcięższa jednak jest chwila zwątpienia,
Kiedy nawiedzi duszę skołataną
I zmąci do dna wiośniane rojenia,
Rwąc sieć nadziei, co człeka oplata.

Rodzi się straszna samotności pustka
Głucha, potworna i nienasycona!
Raz wraz niepokój do bram duszy puka:
Na skroń opada cierniowa korona.

W takiej o, Panie, przyjdź chwili z pomocą!
Rosą Swej łaski ochłodź ludzką mękę!
Niech się radością nam oczy rozzłocą,
Niechaj nam serce z cierpienia nie pęka!

Słowo na ziemi wszak stało się Ciałem..
Zstań w słodycz niebiańskich dobroci!
Panie! Pohamuj bryzgające szały —
Cierpiącej ludzkiej pobłogosław kroci..

Lwów, grudzień 1933 r.

Modlitwa z głębi ziemi

Górnik polski odznaczał się od dawien dawna wielką pobożnością. Chętnie składał grosz ofiarny ze swych pokaźnych niegdyś zarobków, na utrzymanie kościołów, na budowę kaplic i krzyżów, a jeśli mógł wykuwał przybytki Pańskie w głębi ziemi, w pobliżu warsztatu pracy, modląc się w nich dzień w dzień, żarliwie o chleb powszedni, o zdrowie i zagrożone w każdej chwili życie. Świadczą o tem wymownie najpiękniejsze na świecie kopalnie soli w Wieliczce pod Krakowem, których nie omija żaden turysta, zwiedzający stolicę Polski Jagiellonów.

Cicha osada górnicza, zaszyta wśród borów otaczających przedchrześcijański Kraków, dostarczała przyprawy, bez której nie może się obyć żadna niemal potrawa, soli, zapewne już pogańskim Lechitom. Wprawdzie Kromer upiera się przy dacie 1252, w którym to roku miano odkryć złoża soli w pobliskiej Bochni, a w r. 1253 w Wieliczce, cóż z tego, kiedy zgórą sto lat przedtem, a mianowicie w 1124 kardynał Idzi oddaje Benedyktynom z Tyńca pobór od... soli z Wieliczki. A więc wydobywano ją już wówczas co nie przeszkadza przyjęciu, że działo się to już w r. 900, na co wskazywałaby zresztą ówczesna rozległość wielickich salin.

Do czasów podanych przez Kromera odnosi się piękna legenda o św. Kindze. Gdy królewna węgierska opuszczać miała swą ojczyznę, by udać się do Krakowa na zaślubiny z Bolesławem Wstydliwym, prosiła ojca, swego Belę, aby zamiast złota i srebra, które ofiarował jej w wianie, pozwolił zabrać coś, co byłoby królewskim darem zarówno dla biednych jak i bogatych. Król podarował córce kopalnię soli. Uradowana królewna udała się do niej w wrzuciła na dno szybu ślubną obrączkę.

Po przybyciu do Krakowa królewna Kinga kazała zawieźć się do pobliskiej Wieliczki i tu przyglądała się kopaniu szybu. Po usunięciu zwierzchnich warstw ziemi znaleziono sól, a w pierwszej jej bryle ślubną obrączkę królewnej, tę samą, którą wrzuciła do solnego szybu w swej ojczyźnie. Pełen pięknych legend kult św. Kingi, któremu do dziś dnia wierni są górnicy wieliccy, dowodzi że przyczyniła się ona do podniesienia kopalń, zniszczonych może w czasie napadów Azjatów, kopalń, które jednak z całą pewnością istniały przed jej przybyciem do Polski.

Dawniej, gdy zwiedzanie salin wielickich było surowo wzbronione, i należało do przywilejów królewskich, opowiadano sobie o nich wprost cuda. Człowiek współczesny czytając te opowiadania, uśmiecha się ironicznie, a jednak kiedy sam po raz pierwszy znajdzie się w zajmującym przestrzeń czterech kilometrów labiryncie grot, chodników, korytarzy, komór, gdzie zawsze panuje grobowy mrok i cisza, gdzie choćbyś nie wiem jak zadarł głowę, nie ujrzysz roześmianego słońcem błękitu nieba, — wszędzie tylko kryształowe, tysiącem barw lśniące tafle soli, ulega czarowi tej niby z bajki wyjętej krainy.

Wejdźmy na chwilę w czeluście kopalń, za grupą zwiedzających, która co tylko opuściła stalową klatkę windy. Znajdujemy się na tak zwanym pierwszym poziomie, około 63 metry pod powierzchnią ziemi. Długi, oświetlony ognikami elektrycznych lampek korytarz, wykuty w zielonkowo szarej masie soli, rozszerza się w niewielką wysoko sklepioną grotę solną, kaplicę św. Antoniego. Ołtarz, posągi świętych, kazalnica, nawet świeczniki, wszystko to wykute z soli ręką nieznanego górnika około r. 1698. Wymiary kaplicy św. Antoniego: długość 8 m., szerokość 7 m., wysokość 6 m. W kaplicy tej do r. 1800 odprawiał codziennie kapelan salinarny Mszę św., której słuchali zdążający do pracy górnicy. Instytucja kapelana ustanowiona została z końcem wieku XVII.

Na tym samym mniej więcej poziomie co kaplica św. Antoniego znajduje się grota znacznie większych od niej rozmiarów, nosząca nazwę komory Łętów. Data jej powstania rok 1750. Umieszczono tutaj wielki obraz pędzla Wł. Tetmajera, przedstawiający św. Kingę, wyjmującą ślubny pierścień z bryły soli.

Dalsza droga prowadzi nad brzegiem małego jeziorka, które powstało przez nagromadzenie w jednem miejscu wody, przeciekającej z powierzchni ziemi do kopalni. Kopalnie wielickie należą do najsuchszych na świecie, nie posiadają bowiem wewnątrz prawie żadnych źródeł.

Po drodze ku największej i najpiękniejszej z grot kopalnianych zawadzamy o komorę „Drozdowice", będącą salinarnem muzeum, z ciekawemi okazami starych wind i używanych niegdyś narzędzi górniczych. Komora „Drozdowice" imponuje swemi wymiarami. Jest 32 m. szeroka i 34 m. wysoka! Przy jednej ze ścian muzeum stoi wykuta w soli postać ludzka naturalnej wielkości, o całkowicie niemal zatartych rysach. Mimowoli przychodzi na myśl biblijna opowieść o zamienionej w słup soli żonie Lota. Ów solny posąg ma przedstawiać Augusta II. Wykuty z jednolitej bryły przeźroczystej soli stoi posąg przesłano jako niezwykłą osobliwość na dwór królewski do Warszawy, gdzie był przedmiotem powszechnego podziwu. Niestety „atmosfera warszawska" nie służyła solnej rzeźbie. Ulegała powolnemu topnieniu, odesłano ją więc pospiesznie do wielickich podziemi. Trzeba bowiem wiedzieć, że w salinach powietrze przesycone jest wilgocią i solą, a temperatura zimą i latem waha się w granicy 14° C.

Największą i najpiękniejszą grotą w kopalniach wielickich, niejako ich sercem, jest kaplica św. Kingi. Olbrzymia, mogąca pomieścić kilkanaście setek osób sala, wykuta w całości w soli, czyni na zwiedzającym wrażenie niezapomniane. W ołtarzu czerwieje na tle kryształowej, jasno oświetlonej tafli soli, figura św. Kingi, patronki salin. Prawa, boczna ściana kaplicy pokryta jest płaskorzeźbami, przedstawiającemi sceny z Nowego Testamentu, od Narodzenia Chrystusa począwszy. Płaskorzeźby te, wykonane w soli, są osobliwością niespotykaną nigdzie w świecie. Nawet podłoga kaplicy wyłożona jest posadzką z tafelek solnych. Z kaplicy św. Kingi prowadzą przewodnicy do najgłębszej, bo blisko 300 metrów pod powierzchnią ziemi położonej komory Sienkiewicza, na której kończy się zazwyczaj zwiedzanie salin.

Dwa są dzisiaj sposoby dostania się do wnętrza kopalni: przy pomocy windy lub schodów. Schody liczące około 500 stopni zbudowano za Augusta III. Jego Królewska Mość zapragnął bowiem zwiedzić żupy wielickie. Jedynym środkiem lokomocji był wówczas kosz, uwiązany na linie. August III nie chciał jednak narażać królewskiej powagi i poczekał, dopóki kosztem 40 tysięcy zł. polskich zbudowano dla niego schody.

Rozległe saliny wielickie największe i najstarsze na świecie z czynnych do dziś dnia kopalń soli wydawały już kilkaset lat temu pokaźne jej ilości, wynoszące 20 tys. ton, a później 50 i 100 tys. ton rocznie. Dzisiaj Wieliczka produkuje 200 tys. ton soli rocznie.

W czasach Polski przedrozbiorowej saliny pozostawały w rękach dzierżawców, którzy nie zawsze dotrzymywali warunków, wyzyskując je niejednokrotnie w niemiłosierny sposób. W następstwie tej rabunkowej gospodarki spadały na kopalnię nieszczęścia w postaci pożarów, zatopień, lub obsunięć ziemi, które we wzniesionem ponad kopalnią miasteczku Wieliczce, odczuwano jako „trzęsienie ziemi". — Np. 16 grudnia 1644 r. wybuchł w kopalni skutkiem braku dozoru pożar, który trwał 8 miesięcy!

W sto lat później zapadnięcie się ziemi spowodowało tak wielkie uszkodzenie kościoła parafjalnego, że musiano go zburzyć i wystawić nowy. Katastrofa ta była następstwem niedbalstwa dzierżawców, którzy nie podpierali dostatecznie stropów komór wypróżnionych z soli, skutkiem czego komory często rozpadały się, powodując obsuwanie się ziemi na powierzchni, zapadanie się domów i t. d.

Nie obywało się przy pracy pod ziemią bez wypadków w ludziach. — Stąd pod datą r. 1660 widzimy w kronikach wzmiankę o lekarzu salinarnym, którego obowiązkiem było leczyć skaleczenia górników. Funkcję pierwszego lekarza spełniał Józef Wolf. Wypadki wśród górników wielickich były częste i zdarzały się nietylko przy pracy. Niektórzy uprawiali bowiem ciekawy „sport". Zamiast opuszczać się wgłąb kopalni przy pomocy liny, staczali się do wnętrza po bokach szybu „Serafin", owinąwszy się oczywiście uprzednio grubym kocem. — „Sportu" tego, gdy pociągnął za sobą szereg wypadków, zakazano pod rygorem utraty pracy.

Wieki XIV i XV były najświetniejszą epoką dla żup wielickich i miasta. W wieku XV właściciel żup, król, puszczający je w dzierżawę, otrzymywał czynszu rocznego 20 tys. grzywien, a mieszczanie wieliccy, mający wyłączne prawo sprzedaży soli rozwozili ją po całym kraju, dorabiając się krociowych fortun. Zwąchali interes żydzi i usilnie dobijali się o zagarnięcie tej dziedziny handlu. Zapędy tych spryciarzy poskromił Zygmunt August, wydając żydom zakaz mieszkania w Wieliczce.

W Wieliczce wydobywają głównie trzy gatunki soli. Sól zielona złożona z grubych ziarn, koloru szaro-zielonkawego, znajduje się na głębokości około 60 m. pod powierzchnią ziemi. Drugi gatunek tworzy sól spiża, złożona z podłużnych kryształów. Pokłady jej znajdują się głębiej, pod złożami soli zielonej. Na głębokości około 200 metrów spotyka się trzeci, najszlachetniejszy gatunek soli, tak zwaną sól szybikową, białą, drobnoziarnistą, przeźroczystą. Sól szybikową w kryształach, łatwo rozsypującą się, nazywano „jarką". Oddawano ją wyłącznie na dwór królewski i pakowano do beczek oznaczonych orłem państwowym, skąd poszła jej nazwa „sól orłowa". Sól orłową zaczęto wydobywać dopiero około roku 1500. Wśród niej spotyka się sól kryształowa, przeźroczystą jak szkło. Wyrabiają z niej różne ozdóbki i zabawki.

Jak już wspomniano cyfra soli wydobywanej w salinach wielickich sięga dzisiaj 200 tys. ton.

Zajętych jest przy tej pracy 1350 robotników, których niestety dotknął kryzys, choć w mniejszym stopniu jak pracowników z innych gałęzi wytwórczości. Pracują pięć dni w tygodniu. Jeden za drugim szary dzień upływa im na ciężkim wysiłku w głębi ziemi. A tylko czasem, dawniej częściej, dziś kilka razy do roku zaledwie, w szarzyznę tę wplata się nastrojowa uroczystość. Z wielu święconych przed laty obchodów dwu przedewszystkiem dochowali wierności górnicy wieliccy, uroczystości ku czci patronki górnictwa św. Barbary, oraz uroczystej pasterce. Odświętnie przybrani wypełniają w te dnie wielką, podziemną kaplicę. Wiszące u jej stropu kryształowe pająki, rozbłyskują łuną świateł. Ciemny posąg patronki górników w ołtarzu ożywia się. Z tysiąca piersi ulatuje potężne: „Wśród nocnej ciszy..." Modlitwa z głębi ziemi...

Aleksander Kołek (Kraków)

Nagrody literackie we Francji

Tak się złożyło, że tego roku dwie najważniejsze nagrody literackie: „prix Goncourt" i „prix Femina", przypadły w udziale pisarzom już dobrze znanym i posiadającym wyrobioną markę. Dotyczy to zwłaszcza nagrody Goncourtów, przyznanej — jak wiadomo — Andrzejowi Malraux, o czem pisaliśmy przed tygodniem.

A właśnie statut Akademji Goncourtów przewiduje odznaczanie autorów młodych, mało dotąd znanych, by tą drogą zapoznawać czytającą publiczność z dziełami wartościowemi, które jednak uszły szerszej uwagi.

*

Te same zastrzeżenia wywołało przyznanie „prix Femina" Genowefie Fauconnier za jej powieść **„Claude"**. Autorka, dzięki swym parantelom literackim, znaną jest dobrze w Paryżu, a dzieło jej, cieszące się od pierwszej chwili dużem powodzeniem, nie potrzebowało tej gałązki laurowej, jaką uwieńczyło je „jury" nagrody „Femina". Inna rzecz, że **„Claude"** jest naprawdę dziełem ciekawem i wartościowem. Na tle prowincjonalnego życia kreśli w niem autorka historję młodej dziewczyny; historję prostą, szarą, codzienną, bez żadnych nadzwyczajnych wstrząsów, wzlotów czy ambicyj. Całe jej życie, to długi łańcuch drobnych rozczarowań, ofiar i rezygnacji, aż wkońcu wyrzeknie się marzeń swej młodości i pogodzi się z szarzyzną życia codziennego. Powieść, owiana jest lekką mgłą melancholji, obfituje w piękne sceny i opisy z życia prowincji, — natomiast rysunek poszczególnych postaci jest zamało wyrazisty, co krytyka słusznie wytknęła autorce.

*

Wobec tego, że te dwie główne nagrody nie przyniosły właściwie żadnej niespodzianki, — zainteresowanie skupiło się tym razem na dwóch dalszych nagrodach, mających z reguły znaczenie drugorzędne: „prix Theophraste Renaudot i „prix Interallié".

Tę ostatnią nagrodę przyznano Robertowi Bourget-Pailleron za jego powieść **„L'homme du Brésil"**. Jest to dzieło, napisane żywo, stojące na pograniczu między ostrą satyrą, a romansem policyjno-kryminalnym.

Bystrość obserwacji, wybitny talent narracyjny, jasny i zwięzły styl, to są niezaprzeczone walory, stawiające laureata nagrody „Interallié" w rzędzie najlepszych pisarzy dzisiejszej doby.

Wreszcie parę słów o Karolu Braibant, którego powieść **„Le Roi dort"** uzyskała „prix Renaudot". Tytuł powieści — zaczerpnięty z dawnego ceremonjału królewskiego, — nie ma właściwie nic wspólnego z jej treścią, zawierającą dramatyczne dzieje francuskiej rodziny wieśniaczej, walkę między matką, bezduszną, chciwą, despotyczną chłopką, a jej synem jedynym, chłopakiem delikatnym, uczuciowym, pozbawionym jednak silnej woli.

Braibant w powieści swej, napisanej z dużym rozmachem i temperamentem, wprowadza całą masę zapomnianych oddawna wyrażeń i określeń, zapożyczonych z gwary ludowej. Równocześnie jednak pozwala sobie od czasu do czasu na wyrażenia wręcz trywialne i niesmaczne, przez co obniża poniekąd wartość swego dzieła.

*

Na marginesie tych nagród nasuwa się jedna uwaga: literatura francuska coraz rzadziej czerpie dziś natchnienie w alkowach małżeńskich, — interesują ją raczej zagadnienia społeczne, ogólno-ludzkie, czy też przeżycia psychiczne człowieka w stosunku do społeczeństwa lub rodziny. A jest rzeczą charakterystyczną, że właśnie dzieła na podobne tematy, niemal zupełnie pozbawione pierwiastków erotycznych, zakwalifikowano tego roku do nagrody.

(k. r.)

Prawda o „Pogoni litewskiej"

Litwa, uzyskawszy niepodległość, zapragnęła mieć, wzorem innych państw, swój herb i swe barwy narodowe. Ponieważ jako herb uznano dawną „Pogoń", wyobrażającą jeźdźca białego w czerwonem polu, więc wypadało, by przyjąć jako barwy narodowe: białą i czerwoną. To jednak upodobniłoby Litwę do Polski, na co obecni przywódcy Litwy w żaden sposób zgodzić się nie chcieli. Wybrano więc ko-



„Pogoń litewska"

lory: żółty, czerwony i zielony, ponieważ te podobno najczęściej powtarzają się w tkaninach ludowych, zwłaszcza... kieckach. Źródło niezbyt heraldyczne, ale... jakie państwo taka heraldyka.

Zdawałoby się, że na tem sprawa godeł litewskich została wyczerpana i ustalona, lecz korciło Litwinów, iż „Pogoń" ich bądź co bądź przez szereg wieków figurowała obok Orła polskiego. Wybrano więc „uczoną" komisję z profesorów uniwersytetu kowieńskiego, która miała sprawę dokładnie zbadać. Wynikiem tych prac był memorjał, w którym „heraldycy" litewscy doszli do wniosku, iż wprawdzie „Pogoń" jest prastarem godłem Litwy, jednak przez



„Kolumny"

Polaków została zgruntu zniekształcona.

„Kult konia — czytamy w tym elaboracie, powtórzonym przez całą niemal prasę litewską od najdawniejszych czasów był rozpowszechniony wśród wielu narodów. Czcili go Grecy (pegar), Bułgarowie, Ormianie i Hindusi. Koń był na rysunkach zawsze zwrócony na wschód. Symbolicznie u wszystkich narodów oznaczało to kult słońca, do którego, jako do głównego bóstwa, jeździec się wznosił co oznaczało wzniosłe dążenie (!) W Litwie po raz pierwszy pogoń jako godło państwowe została użyta za czasów Witolda. Na tarczy jeźdźca nie było obecnego sześcioramiennego krzyża, którego ani Witold ani późniejsi władcy Litwy nie używali. Dzisiaj, przez nieznajomość rzeczy, nawet na piersiach Witolda rysuje się sześcioramienny krzyż, znak, którego Witold nigdy nie używał i który, jako obcy (!) dla niego był wielce niemiły (!) Witold obok pogoni używał jeszcze jako znaku państwowego, słupy Giedymina. Symbolem pogoni Witolda było dążenie Litwy do potęgi i wielkości. Pogoń litewska została świadomie wyposażona przez Jagiełłę. Pod wpływem Jagiełły umieszczono na tarczy jeźdźca krzyż sześcioramienny, którego używano na Węgrzech. Pozatem Jagiełło kazał jeźdźca twarzą zwrócić na zachód w kierunku Rzymu i Niemiec. Pogoń w ten sposób straciła swe pierwotne symboliczne znaczenie — Jagiełłowy jeździec ma już na celu zgniecenie Niemiec — wroga Polski".

Każde zdanie to dokument nieuctwa i rozbrajającej naiwności. Przedewszystkiem w heraldyce niema „wschodu" i „zachodu". Godła heraldyczne noszono na tarczach, które obracano przecie na wszystkie strony, zgodnie z tem, jaką pozycję zajął dźwigający ją rycerz, który nie ustawiał się według stron świata — na wschód, na zachód, na północ, czy południe. Rozróżniano tylko stronę prawą i lewą, jednak nie od strony widza, ale od strony noszącego tarczę. Tak więc orzeł polski ma głowę zwróconą w prawo — (od widza jest to strona lewa). Zasadą przestrzeganą ściśle w kraju, gdzie nauka heraldyczna stała na wysokim poziomie, było zwracanie wszystkich godeł herbowych — w prawo. Wyjątki znajdują się dość często na pieczęciach polskich i litewskich, co jednak było skutkiem pomyłki rzemieślnika, wykonywującego pieczęć, który wycinając według prawidłowego rysunku, zapomniał o tem, że przecież wykonać musi negatyw. Bywały też wypadki, że królowie, karząc jakiś ród, odwracali godło herbowe. Takim zniekształconym jest herb polski „Krzywda", któremu odcięto za karę prawe ramię krzyża.

Jeżeli Litwini koniecznie pragną dziś pohańbienia swego godła herbowego, to mogą oczywiście odwrócić „Pogoń" w lewo. Będzie to zasłużona kara.

Nonsensem jest także twierdzenie o pochodzeniu „Pogoni" z Indyj czy od greckiego pegaza (!). Pochodzenie to jest znacznie bliższe i prostsze.

Heraldyka była od początku instytucją nawskroś europejską, najwyżej stała na zachodzie, zwłaszcza we Francji. Polska, którą łączyły liczne więzy z zachodem, zwłaszcza z Francją, przyswoiła ją sobie dość wcześnie. Ale trzeba pamiętać, że w wiekach średnich, tuż za granicą wschodnią polski, zaczynała się Azja, gdzie o europejskich zwyczajach nie miano pojęcia. Nie znano też herbów, ani na Litwie, ani tembardziej w Moskwie.

Wielcy książęta litewscy, posiadając rozległe państwo, stosunki z zagranicą, mieli swą kancelarję, a przeto potrzebowali też pieczęci. W wiekach średnich, kiedy znajomość pisma nawet wśród najmożniejszych była bardzo rzadka, każdy rycerz, nie mówiąc już o książętach, posiadał (oprócz herbu) pieczęć, która była jak gdyby portretowem wyobrażeniem jego własnej osoby (coś w rodzaju naszych dzisiejszych fotografij w paszportach). Obowiązywały przytem powszechnie ustalone formy: zwykłego rycerza wyobrażano w całej postaci, stojącego, w zbroi; księcia — na koniu; króla — na tronie. Do tego dodawano odpowiedni napis oraz herb przynależny danej osobie. Prawie wszyscy książęta polscy, piastowicze, posiadali takie pieczęcie, na których wyobrażeni byli jako jeźdźcy, na koniu, przeważnie z dodaniem orła białego, jako herbu.

Naśladując zwyczaj ten, przyjęty tak u nas, w Polsce, jak i w całej Europie, podobną pieczęć sporządzić sobie kazał w. ks. litewski Olgierd. Po raz pierwszy spotykamy ją na traktacie, zawartym miedzy Olgierdem a Kazimierzem Wielkim 1366 r. Wielki książę wyobrażony jest zgodnie ze zwyczajem, jako rycerz, w pełnej zbroi, na koniu, ale bez herbu, którego nie posiadał. Wzorem w. księcia podobne pieczęcie sporządzili sobie również inni książęta litewscy.

Tak powstała „Pogoń", która pierwotnie nie była wcale herbem, ani państwowym litewskim, ani rodu wielkoksiążęcego, lecz tylko osobistą pieczęcią księcia.

Co się tyczy krzyża podwójnego, to jak władomo, krzyż taki został nadany przez papieża Witoldowi, za zasługi przy chrystjanizacji Litwy. Witold był tem wielce zaszczycony. Krzyż ten, nieco później umieszczono na tarczy jeźdźca. Z krzyżem węgierskim, także „lotaryngskim" zwanym, Jadwigi, niema on nic wspólnego.



Pieczęcie Witolda Korybuta i Ligwen książąt litewskich

Słówko poświęcić jeszcze pragniemy t. zw. „słupom Gedymina", które właściwiej nazywamy „kolumnami jagiellońskiemi". I to niebył żaden herb litewski i nic wspólnego nie miał z Gedyminem. Był to herb miasta Kaffy, kolonji genueńskiej nad morzem Czarnem. Kaffa (późniejsza Teodozja) jak większość miast zachodnich, miała w herbie bramę miejską z basztami. (Porównaj herby Krakowa, Lwowa, Poznania itp.)

Średniowieczna Litwa prowadziła z Kaffą bardzo ożywiony handel, głównie niewolnikami. Odbywały się nawet perjodyczne targi niewolników w Łucku, dokąd książęta i bojarowie litewscy spędzali tysiącami swych podwładnych, biorąc za nich od handlarzy kafeńskie denary. W Litwie, która nieposiadała ani swej mennicy, ani swej monety, denary te stały się najbardziej rozpowszechnionym pieniądzem. Na monetach tych wyobrażony był w sposób bardzo prymitywny herb miasta Kaffy, który następnie prawem kaduka przyswojony został przez W. ks. litewskiego i w heraldyce naszej znany jest pod nazwą „kolumn jagiellońskich". Znajdujemy te kolumny na pieczęci w. książęcej Witolda z r. 1412, na tarczy jeźdźca, zamiast późniejszego krzyża podwójnego. Czy wcześniej były używane — nie wiemy.

Kiedy później, w Horodle, szlachta polska adoptowała bojarów litewskich, przyjmując ich do swych herbów, „zapomniano"... o rodzie wielkoksiążęcym, czyli poprostu nie wypadało, by zwykły szlachcic polski adoptował króla. Jagiellonowie przybrali sobie herb owe „kolumny", skopjowane, prawdopodobnie całkiem nieświadomie i prymitywnie, z denarów kaffeńskich. Na pogrzebie Zygmunta I. niesiono prócz chorągwi polskiej z Orłem białym i litewskiej Pogoni, także chorągiew z kolumnami jako herbem domu Jagiellońskiego. Zygmunt August, jako w. książę litewski, wybijał na monetach litewskichowe kolumny.

Podobnie jak ród wielkoksiążęcy, tak i W. księstwo litewskie, przed połączeniem się z Polską, nie posiadało swego godła, gdyż jeździec, nazwany później „Pogonią" był tylko osobistą pieczęcią książęcą. Dopiero połączony z Orłem polskim, siłą tradycji, uznany został za godło państwowe Litwy, połączonym zaś znakom Orła i Pogoni poświęcił anonimowy autor XVI wieku następujący, piękny ośmiowiersz „do obywatela miasta Wilna", którym pragniemy zakończyć powyższy szkic:

„Masz Orła pana, a przy nim pośpieszną Pogonią
Oba się stawią chętnie ku twych praw obronie;
Sam jedno nie zasypiaj, lecz z orłem wysoko
Wzbijaj się, czujnym będąc, a z Jeźdźcem szeroko
Obiegaj, by kto swobód z boku nie naruszył.
Orzeł skrzydłem zasłoni; Jeździec będzie kruszył.
Więc się strachów nie lękaj, by przyszło zdrowie położyć
Dla wolności: tak żyli przodkowie".

Tak żyli przodkowie... A ich wnukowie?

JAN OBST (Wilno)

Ciekawostki ze świata

FASZYŚCI POSKRAMIAJĄ TYBR

Od wieków płyną żółtawe fale Tybru, niczem nie skrępowane. W czasach posuchy rzeka robi się tak płytka, że nieledwie w bród przejść ją można, ale w okresie roztopów wiosennych wzbiera i zdarzało się, że powódź zalewała pół Rzymu. Już Klaudjusz i Trajan myśleli o jej uregulowaniu, z czem łączyły się plany założenia portu w stolicy, ale nawet do rozpoczęcia robót nigdy nie doszło. Portem starożytnego Rzymu, zarówno handlowym, jak wojennym była Ostja.

Obecnie Mussolini zatwierdził plan inżyniera Caori. Już powyżej stolicy będzie rzeka w kilku miejscach owałowana, na przestrzeni Rzymu oba brzegi zostaną obmurowane. Tym sposobem zniknie niebezpieczeństwo powodzi i powstaną wspaniałe bulwary. W pobliżu bazyliki św. Piotra i Pawła będzie wielki basen, przeznaczony dla statków. Z planem łączy się zużytkowanie siły wodnej dla rzymskich zakładów elektrycznych.

OCHRONA ZWIERZĄT W HITLEROWSKICH NIEMCZECH.

Hitlerowskie Niemcy obostrzyły znacznie ustawę o ochronie zwierząt, z któremi złe obchodzenie się karane było dotychczas dość lekko. Obecnie grozi za tego rodzaju przekroczenia więzienie do dwóch lat. Nawet w razie, jeżeli cierpienia zwierzęcia są tylko skutkiem nieuwagi, karą może być więzienie lub grzywna do 150 marek. Następnie może sąd odebrać właścicielowi zwierzę i umieścić je gdzieindziej na jego koszt, może również zabronić mu trzymać nadal konie, psy, krowy itp. Wiwisekcja i inne doświadczenia na zwierzętach są zasadniczo wzbronione. O ile przedsiębrane są w celach naukowych i przez ludzi z odpowiedniemi kwalifikacjami, wymagają pozwolenia ministra i muszą odbywać się pod nadzorem urzędowym. Wzbronione jest użycie do doświadczeń tego samego zwierzęcia po raz drugi. Obowiązkowy też jest dokładny protokół. Przekroczenie tego przepisu powoduje więzienie, grzywnę lub jedno i drugie.

TANCERKA W PŁOMIENIACH

Straszny widok miały około dwa tysiące publiczności w Bournemouth w Anglji. Na scenie wykonywano właśnie t. zw. taniec łabędzi, gdy wbiegła na nią baletnica w płonących sukniach. — Charakteryzowała się ona w garderobie, a ponieważ potrzebny do tego tłuszcz stwardniał, próbowała roztopić go świecą. Nagle płomień czepił się powiewnej spódniczki. Przerażona dziewczyna, straciwszy zupełnie głowę, wpadła w otwarte drzwi i na scenę. Może zresztą był to wrodzony instynkt, gdyż koleżanki rzuciły się natychmiast na pomoc, zdzierając z niej suknie i tłumiąc ogień. Tancerka nie odniosła poważniejszych oparzeń.

POGRZEB ADMIRAŁA

Niedawno zmarł w w. lat 71 admirał angielski Sir Aleksander Ludwik Duff, który w czasie wojny dowodził grupą łodzi podwodnych. Pogrzeb odbył się ściśle wedle poleceń, zawartych w testamencie, z honorami, przysługującemi admirałom. Ciało spalono, a popioły złożono do szkatułki, którą zabrał na pokład kontrtorpedowiec Scimitar (Kindżał). Wypłynął on z portu Harwich. — przyczem pożegnano szczątki zmarłego salwą działową, a wszystkie okręty opuściły flagi do pół masztu. Popioły rozsypano po falach.

Wspomnienie jednej wigilji

Wtem otwarły się drzwi i weszła ona... jakgdyby tu była domowniczką i opuściła mnie przed chwilą.

Poznałem ją odrazu, choć minęło już 12 lat, jak jej nie widziałem. Lecz — co najdziwniejsza — nie zdziwiłem się wcale. Doznawałem tylko tego nieokreślonego uczucia, które mnie ogarniało zawsze w jej obecności: cichej rozkoszy, zmieszanej z trwogą, chęci wyciągnięcia rąk do niej, przygarnięcia jej do siebie.

Bo od dwunastu lat błądziłem sam po świecie.

Uśmiechała się tym właściwym sobie trochę przekornym, trochę pieszczotliwym uśmiechem, jak zwykle w chwilach, gdy jej byłem miły.

Przybliżyła się ku mnie i położywszy rękę na mem ramieniu, zajrzała mi w twarz. Gwiaździste jej oczy opłynęły mnie, wniknęły do mózgu.

Chciałem jej zrobić koło siebie miejsce na szerokim fotelu lecz potrząsnęła głową.

— Dziś wigilja — odezwała się pytająco — a ty?

— A ja — mówiłem roześmiany — ja czekam...

Właściwie... na co czekam? Nie pamiętałem już, zresztą było mi obojętne, jak wszystko, co się działo przed jej przybyciem.

Po pokoju tułała się woń wiosennego sadu, który gdzieś, kiedyś kwitnął w nocce dumnej młodości mojej. Wiem... wiem...

Podniosłem się, ująłem w dłonie jej twarz, pociągając ku sobie.

— Nie całuj mnie — wyszeptała ciągle z uśmiechem na ustach — przecież wiesz, żem umarła.

Cóż to znaczy? Nie obchodziło mnie to wcale.

Dziewczynka rozglądała się po pokoju.

— Dzisiaj wigilja... och, jak tu pusto u ciebie. I nawet nie uczesałeś się porządnie. Poczekaj...

Poczęła paluszkami układać mi włosy... czułem je jak promienie.

— A teraz chodź.

Mógłżem się jej opierać? Czyż nie robiła zawsze ze mną, co chciała?

— Gdzie idziemy?

— Na wigilję... chodź prędzej... już czas... O, jakże ty marudzisz!

— Lecz prawda — dodała — muszę cię prowadzić... ty nie znasz tych miejsc...

Wprawdzie mieszkałem w tym domu już dwa tygodnie, lecz wtedy rzeczywiście bez niej nie wiedziałbym, gdzie się obrócić.

Bo gdy otwarła drzwi, ukazała się przed nami amfilada pokojów nieznanych mi całkiem. Były pełne jakiegoś dziwnego półcienia, nalane jakby szafirem i srebrem.

— Skąd tu ta jasność? — spytałem mej przewodniczki.

— Ach, ty! Przecież księżyc świeci przez okna.

Istotnie przez wysokie okna lała się smętna światłość księżyca, która była jedyną jaźnią tych pokojów. Widziałem martwy, oślepiająco biały krąg lodowy na firmamencie ...i miałem wrażenie, że wokół tego domu rozciąga się nieobeszła pustynia śniegów.

— Na wigilję — powtarzałem sobie, dziecinnem zdjęty urojeniem, czując na palcach swych ucisk jej dłoni, która wiodła mnie dalej i dalej.

Chwilami jakiś odruch podświadomy kazał mi się wstrzymywać ale wówczas obracała twarz ku mnie z dąsem wyrzutu... że ogarniał mnie żal jak płomień i tkliwość i strach, by mnie nie odeszła... jak wtedy... jak wtedy...

Nareszcie ujrzałem półuchylone drzwi, przez które w milczącą siność pokoju buchała smuga złotego światła, niby od wielu zapalonych lamp i niósł się gwar licznie zebranych ludzi.

Wówczas ta słoneczna przystanęła, mówiąc:

— Prawda, jak tam wesoło?

Boże drogi, jakżeby na wigilji nie miało być wesoło?

Stanęliśmy w progu i w jednem mgnieniu oka objąłem całość.

Za długim, biało zasłanym stołem, siedzieli wszyscy moi dawni znajomi, niektórzy zapomnieni prawie. Ojciec, umarły przed dwudziestu przeszło laty, brat, który utonął jako chłopiec dziewięcioletni... a dalej krewni... przyjaciele lat szkolnych i późniejszego wieku... wszyscy ci, którzy wzięli dla siebie cząstkę mej duszy, których istnienia wchodziły w krąg mego życia i oddziaływały niejednokrotnie na funkcje mych myśli, mych pragnień, mych czynów. Wszyscy, wszyscy... tłum wielki, który odszedł za jakąś zasłonę, zatracił się z widnokręgu mego. Poznawałem twarze, jedne odrazu, inne dopiero przy wysiłku pamięci, przypominałem nazwiska, miejsca, gdzieśmy żyli, uczucia, któremi kiedyś weseliło się, smuciło i tęskniło serce.

Na stole dymiły potrawy... białe ogniki świec pełgały po srebrze zastawy.

W głębi, w kolorowych festonach iskrami świeczek płonąca, złoceniem orzechów i włosów anielskich migotliwa radowała się choinka.

Trwałem tak w olśnieniu. Poczem pierwszym moim odruchem było biedz do ojca, przypaść do piersi jego.

— Tatku — zacząłem mówić zapamiętanym z dzieciństwa wyrazem — to ja... to ja przyszedłem.

Ale on nie widział, nie słyszał mnie. Nachylony do swej siwowłosej matki, rozmawiał z nią z ożywieniem. Wogóle wszyscy rozmawiali wesoło, lecz mózg mój nie przejmował treści słów, nie rozumiałem niczego.

— Ojcze — wołałem przez łzy, całując jego ręce — nie poznajesz mnie? nie chcesz mnie poznać? To ja, twój syn...

Cóż to miało znaczyć? Nie zważał na mnie nikt, jakby mnie wcale nie było. Nagle odniosłem wrażenie, że ciało moje jest jak ciało ducha, które przenikać może treść obcą, nie doznając oporu.

Wszak krzyczałem głośno, obejmowałem ojca za szyję, zwracałem się do innych z prośbą, z zaklęciem, z płaczem — nie istniałem dla nich.

Byli pomiędzy sobą, ci umarli, żyli życiem realnem, rozumieli się, cieszyli wspólnie — a ja?

Nie było mnie.

Zapamiętałem się w żalu bezmiernym, w poczuciu krzywdy niezgłębionej. Płacz rzewny, dziecięcy wstrząsał całą mą postacią, usta powtarzały słowa miłości i skargi. Klęczałem u kolan ojca, uświadamiając sobie z goryczą, że nie jestem nawet widmem dla niego.

O wigiljo, wigiljo moja!

Naraz uczułem dotknięcie na głowie. Po dreszczu, który mnie przejął, poznałem, że to były jej ręce.

Jasna dziewczyna patrzyła na mnie przeciągle, przejmująco. Zrozumiałem, że teraz coś się stanie i ulga niewysłowiona wypełniła mi serce.

Płochliwem pytaniem zawisłem na jej wargach:

— Dlaczego... dlaczego?...

Miała dla mnie pobłażliwe, dobre słowa, niby szept pachnących gałęzi bzu:

— O jakże ty się niecierpliwisz... Czekałeś lat tyle — i cóż teraz kilka sekund znaczy?

— Obcy tu jestem wśród tych, których kochałem — skarżyłem się.

— Tak, jesteś obcy jeszcze dla wszystkich.... Ale...

— A ty?... ty przecież także...

— Chcesz powiedzieć, że ja także umarła? — dokończyła z uśmiechem mą myśl.

Obłok rumieńca przepłynął przez jej twarz. Zaszemrały słowa ciche, radosne:

— Wszak mówiłeś zawsze.... i wierzyłeś w to, że ja... byłam Szczęściem twojem. Któżby cię wyprowadził z tych smutnych, chłodnych pokojów, przez które szliśmy, gdyby mnie nie dane było być przy tobie? Ktoby ci otworzył drzwi na tę radość życia?

— Więc ty jesteś Szczęściem?

W tejże chwili twarz jej stała się nieruchoma, jakby stężała w ekstazie oczekiwania. Oczy zamieniły się w jakieś głębie przepastne, na dnie których leży straszliwa tajemnica. Magnetyczna ich siła legła na mnie lodowym ciężarem grozy.

Tak — chwila jeszcze — a coś się stanie. Niechże będzie! Byłem smutny i zmęczony na śmierć. W tem usłyszałem krzyk jej donośny, przeszywający:

— Nie! nie jeszcze!... odejdź stąd!

Wyciągniętemi rękoma pchnęła mnie gwałtownie poza próg, a równocześnie z ogłaszającym łoskotem zatrzasły się drzwi...

— — — — — — — — —

Masywny kandelaber bronzowy, pogięty cały, leżał na środku pokoju, obok przewróconego stolika, wśród rozstrzaskanego szkła lampy. Przy tym stole przed tym dziwnym stanem, w jaki popadłem, siedziałem — ja, czytając książkę. Widziałem ją również na podłodze.

Lecz obecnie znajdowałem się na fotelu pod ścianą. Fotel ten stał na kółkach, zakupiony swego czasu dla sparalizowanej matki mego kolegi, u którego na wsi bawiłem. Kto przesunął mnie pod ścianę przed chwilą zerwania się kandelabru, który byłby mnie zabił, spadając?

Na łoskot, spowodowany wbiegli domownicy, a w kilka chwil później ukazał się gospodarz. Otoczyli mnie wszyscy, spłoszeni, pytający. Cóż im mogłem odpowiedzieć?

Miałem serce przelewające się jeszcze wzruszeniami ostatnich chwil, w oczach wizję wigilji umarłych, postać ukochanej. Patrzyłem teraz na tych żyjących jak na nieznanych ludzi.

Nie słyszałem nawet, czem tłumaczono zerwanie się kandelabru.

— Co za szczęśliwy przypadek — mówił mój przyjaciel — że nie siedziałeś właśnie przy stole — co za szczęśliwy przypadek!

Ach, przecież ja przy nim siedziałem, zapadając w ów sen kataleptyczny, czy jak ten stan nazwać inaczej...

— Skąd ten zapach werbeny w całym pokoju? — zdziwił się nagle mój gospodarz. — Czy to ty skropiłeś się perfumami?

Zapach werbeny! Wielki Boże! Któż to lubiał nad inne wonie werbenę?

I w błysku jednej sekundy stało mi się wszystko zrozumiałe.. To ona używała perfum werbeny i dlatego zawsze ten słodki, smętny zapach był mi milszy nad inne...

Posiadłem pewność niewzruszoną, błogą: Ona była tutaj... ta najboleśniej kochana, ta dawno umarła... ta niezapomniana nigdy...

Wigilio, najsmutniejsza i najpiękniejsza wigiljo moja!...

ARTUR ĆWIKOWSKI

—o—

Za wigilijnym siadam stołem...

Za wigilijnym siadam stołem,
nie ten, co w zeszły rok —
a wszyscy moi przy mnie kołem:
samotność — cisza — mrok...

Za wigilijnym siadam stołem,
sam sobie patrzę w twarz —
lampa kołysze się nad czołem,
za oknem gwiezdna straż...

Za wigilijnym siadam stołem,
już wróżb nie wołam złych — —
ci, którzy we mnie — ze mną społem:
postacie widzeń mych...

Za wigilijnym siadam stołem,
godowy wdziałem strój — —
rozmowę z nimi dziś począłem,
przeżywam teatr swój!...

I dzielę z nimi chleb za stołem,
ta noc mi wróżba jest —
teatr się musi stać kościołem...
chlebem: myśl — słowo — — gest!

Ci, którzy we mnie — ze mną społem
przebyli mgłę i mrok — —
za wigilijnym siadam stołem,
nie ten, co w zeszły rok...

ANTONI WAŚKOWSKI (Kraków)

Stefan George

W pierwszych dniach grudnia zmarł w 66-tym roku życia najsławniejszy współczesny poeta niemiecki Stefan George. Był to człowiek, trzymający się na uboczu od życia publicznego. Odmówił przyjęcia ofiarowanego sobie członkostwa Pruskiej Akademji Literackiej. W r. 1927 otrzymał od Frankfurtu nad Menem nagrodę imienia Goethego. Oto kilka tytułów jego dzieł: „Hymny", „Pielgrzymki", „Rok duszy"; „Kobierzec życia", „Pieśni marzeń i śmierci", „Siódmy pierścień". W poezji George'a wybijają się na pierwszy plan problemy etyczne. Prasa narodowo-socjalistyczna widzi w nim jednego z duchowych ojców hitleryzmu „kapłana, poetę i proroka" Nie bardzo to się zgadza z poglądami dotychczasowych krytyków, z których jeden nazwał George'a estetą, żyjącym zdala od świata w wieży z kości słoniowej. Trzeba też dodać, że poezja jego nie jest przystępna i była nieznana szerokim kołom społeczeństwa.

J. S.

Z najnowszej historjografji angielskiej

W dziejach angielskich wypełnia wiek XVI. walka między katolicyzmem a protestantyzmem. W wieku XVII. trwa ona dalej, lecz dołącza się do niej walka o władzę między koroną a — jak mówi się zazwyczaj — parlamentem. Co oznacza w tym wypadku parlament, czy społeczeństwo, czy arystokrację, czy plutokrację, co do tego niema pomiędzy historykami zgody. Nie wdając się narazie w rozstrzyganie sprawy, wystarczy stwierdzić, że rewolucja r. 1688 oznacza ostateczne zwycięstwo protestantyzmu i parlamentu.

Zwycięstwo to rozstrzygnęło nie tylko o dalszych losach kraju, ale i o stanowisku historjografji. Hasłem jej bywa często w takich wypadkach **Vae victis**. Ci, którzy pognębili przeciwników w życiu, gnębią ich i w książkach. Kradną im zasługi, oczerniają ich wielkich ludzi, podsuwają im niskie pobudki działania, wywyższają siebie i swoich, nieraz wywraca ją na nice całą rzeczywistość. Zapewne jeszcze dwadzieścia lat temu nie byliśmy zdolni uwierzyć w możliwość takiej metamorfozy dziejów, ale to dla tego, że mieliśmy za sobą dłuższy okres bez gwałtownych przewrotów politycznych i społecznych. Dziś łatwiej nam zrozumieć tę możliwość, ponieważ patrzyliśmy i patrzymy na przykłady.

Historję angielską wieków XVI. XVII. i wogóle historję angielską pisali do niedawna prawie wyłącznie wigowie, a nawet ci historycy, którzy nie byli wigami, pisali często w ich duchu, nawet wtedy, gdy wygłaszali odmienne zasady, przyjmując w sądzie o najważniejszych wypadkach i postaciach ich punkt widzenia. Wyolbrzymiano więc rozstrój, panujący w Kościele katolickim przed reformacją, idealizowano skutki reformacji; wierzono we wszystkie fałsze i fałszerstwa przeciwników Marji Stuart, a wynoszono pod niebiosa Elżbietę; w jak najgorszem świetle przedstawiano Stuartów na tronie angielskim — autor bardzo rozpowszechnionej historji Greene używa takich tytułów, jak „Tyranja Stuartów“ i „Druga tyranja Stuartów“, ale ani przyjdzie mu na myśl określić tak rządy Henryka VIII., Elżbiety czy Cromwella, w grupie szlachty wiejskiej, która przeciwstawiła się Karolowi I. (Eliot, Pym, Hampden i in.) widziano natchnionych, bezinteresownych bojowników wolności; idealizowano z kolei Cromwella i Williama III. — wystarczy wspomnieć o apoteozie lorda protektora u Carlyle'a i o „Historji“ Macaulay'a, w której Orańczyk wyrasta na nieskalanego bohatera, niczem król Artur Tennysona. Nad wszystkiem zaś unosił się duch wigizmu i protestantyzmu.

Historja działała i na inne dziedziny myśli angielskiej, n. p. na historję literatury. Widziano w Szekspirze typowego protestanta i przemilczano fakta, z których raczej można wnioskować, że był on katolikiem, przynajmniej przez większą część życia. Kto wie nawet, czy namacalny dowód nie został umyślnie usunięty. Przygotowywana książka, która miała go przynieść, nie wyszła.

W wieku XX. zaszły poważne zmiany w układzie sił politycznych i w sposobie myślenia Anglików. Ktokolwiek dziś rządzi, napewne nie rządzi ani korona, ani parlament. Walka o władzę między temi dwoma czynnikami odsunęła się w przeszłość i tyle ma znaczenia dla dzisiejszych stosunków, co wojny białej i czerwonej róży. I kwestje religijne dla większości społeczeństwa straciły aktualność wobec panującego ateizmu i indyferentyzmu. Jedynym prawdziwym czynnikiem na tem polu jest katolicyzm, zyskujący na terenie zwolna, ale systematycznie i konsekwentnie.

To też daje się zaobserwować także reakcja historyczna. Dogmaty, w które przez dwa wieki święcie wierzono przestały być dogmatami. Elżbietę — po części dzięki drobiazgowym badaniom nad epoką, do których punktem wyjścia był Szekspir — odarto z nimbu. Są poważne próby rehabilitacji Marji Stuart — dał im początek katolicki powieściopisarz Robert Hugh Benson, zmarły w roku wybuchu wielkiej wojny, nawiasem mówiąc syn anglikańskiego prymasa. Nie maluje się już Karola I., Stafforda i Lauda całkiem czarno, ich przeciwników całkiem biało. Dostrzega się u Cromwella okrucieństwo i obłudę. Jednem słowem rozpoczęła się rewizja historji na wielką skalę. Wynik trudno dziś przewidzieć. W każdym razie proces jest w pełnym toku.

Najśmielszy z pionierów nowego prądu, Hilary Belloc, nie należy do zawodowych historyków, gdyż jest także powieściopisarzem, esseistą, poetą i publicystą. Najwięcej jednak czasu i pracy poświęca dziejom. Początkowo zajmował się rewolucją francuską — jest francuskiego pochodzenia, — potem pokusił się o całość historji angielskiej i co pewien czas pojawiały się pokaźne tomy szeroko zakrojonego dzieła. Obawiać się jednak należy, iż Belloc'owi zdarzyło się to, co niejednemu uczonemu, będącemu w podobnem położeniu. Im dalej w las, tem więcej drzew. W miarę, jak zbliżał się ku nowszym czasom, ilość źródeł i dzieł pomocniczych rosła, coraz trudniej było posuwać się naprzód. Belloc utknął w wieku XVI., a o tem, że nie ustaje w pracy, świadczą narazie tylko monografje, z nią związane. Wydał ich już kilka — o kardynale Wolsey, o Cromwellu, a niedawno o Karolu I.

Wypadki panowania Karola oświetlano dotychczas jako walkę, w której po jednej stronie stał ciasny fanatyk boskiego prawa królów, nie cofający się przed żadnem bezprawiem i nałogowo oddany kłamstwu, z drugiej zastęp bohaterskich, dobru publicznemu służących obywateli. Belloc stara się zrehabilitować Karola, lecz przedewszystkiem rozwija śmiałą teorję historyczną: Ostatnim królem angielskim w pełnem tego słowa znaczeniu był Henryk VIII. Tej samej pełni władzy nie miało już żadne z jego trojga dzieci, nie wyłączając Elżbiety, wątłej fizycznie, niezupełnie normalnej i noszącej na sobie plamę nieprawego urodzenia. Wbrew dotychczasowym poglądom rządziła za nią grupa nowej arystokracji, wzbogaconej grabieżą dóbr kościelnych z Robertem Cecilem na czele — i ten był sprawcą wielkości Anglji w tym okresie.

Wogóle królom już od połowy XVI. w. wyrosła nad głowę bogata szlachta i mieszczaństwo, jednem słowem plutokracja. Rzucił jej rękawicę Karol I. Na szkodę wyszła mu dewaluacja pieniądza, związana z napływem szlachetnych kruszców z drugiej półkuli. Podatki i czynsze z dóbr królewskich wpływały w monecie, która nie miała ani połowy dawnej wartości, dochody osób prywatnych, czerpane z rolnictwa i handlu, nie zmniejszyły się dzięki wzrostowi cen. Karol był więc w tej walce stroną słabszą i uległ w niej, tracąc tron i życie.

Dzieła Belloc'a wpłyną niewątpliwie poważnie na dalszy rozwój historjografji angielskiej. Niektóre jego poglądy znalazły uznanie odrazu, inne wywołały mniej lub więcej ostre sprzeciwy. Zdaje się, że prawda jest gdzieś w pośrodku między dawnymi dziejopisami, a burzycielami ich dzieła. Belloc w pewnych wypadkach idzie stanowczo za daleko. Brak mi tu miejsca na uzasadnianie tego na poszczególnych punktach jego teorji, wystarczy jednak przykładowo przyjrzeć się jego stosunkowi do paru znanych postaci dziejowych.

Słusznie rozwiewa Belloc legendę, jaka wytworzyła się około postaci Sir Johna Elista. Z tego przywódcy opozycji z początków panowania Karola I. zrobiono republikańskiego bohatera w czasie, gdy całemu życiu nadawali ton wigowie, a jego własna rodzina weszła już była do arystokracji.

Trudniej pogodzić się z idealizacją Buckinghama. W tym płytkim i niezbyt uczciwym ulubieńcu Jakóba I. Karola I. Belloc widzi znakomitego polityka i wodza. Upadek mocarstwowej powagi Anglji w tym czasie i niesławna wyprawa pod La Rochelle mówią coś przeciwnego.

I sam Karol I. wychodzi u Belloc'a zbyt dodatnio. Na charakter jego rzuca fatalne światło choćby małoduszność, z jaką dopuścił do zguby najwierniejszego i najzdolniejszego swego pomocnika. Jak akt oskarżenia, brzmią przedśmiertne słowa Stafforda: „Biada temu, kto położył ufność w wielkich tego świata“. Ale epizod ten nasuwa i inną uwagę: Gdyby król zdawał był sobie sprawę ze swej misji dziejowej, byłby już w chwili procesu Stafforda wiedział że wojna domowa jest nieunikniona. Czy byłby w takim razie poświęcił głowę Stafforda — jedynie po to, aby odwlec starcie? Najwidoczniej nie miał wyraźnie wytkniętej linji politycznej.

Władysław Tarnawski

Jak pracuje szwajcarskie radjo

Powiedzmy to sobie otwarcie: radjo jest przedsiębiorstwem handlowem. Jak każde inne przedsiębiorstwo wymaga sprężystej organizacji, wymaga reklamy. Bo ma do zwalczania konkurencję coraz liczniejszą, coraz groźniejszą.

Gdzie radjo jest przedsiębiorstwem prywatnem (Ameryka), — walka toczy się między poszczególnemi studjami, które wysilają się w pomysłach, oryginalności i doborze programów, by skaptować sobie jaknajwięcej abonentów.

Ta sama jednak konkurencja i emulacja istnice i między poszczególnemi państwami, w których radjo jest instytucją państwową, względnie subwencjonowaną przez państwo i pozostającą pod jego kontrolą. Emulacja najszlachetniejsza, wychodząca w pierwszej linji na korzyść radjosłuchacza, — w niemniejszym stopniu jednak i na korzyść radja danego kraju.

Chcąc dotrzymać zwycięsko kroku zagranicy, dobrze jest wiedzieć, w jaki sposób zorganizowaną jest służba radjowa w innych krajach, — czego się od nich nauczyć możemy. Dla przykładu weźmiemy Szwajcarję.

* * *

Małe to państwo dysponuje pięcioma stacjami radjowemi a to: Genewa, Lozanna, Zurych, Berno i Bazylea. Znajduje się coprawda w wyjątkowem, uprzywilejowanem poniekąd położeniu: państwo, będące siedzibą Ligi Narodów, goszczące setki tysięcy turystów z całego świata, posiadające tysiące atrakcyj i bezkonkurencyjne tereny do wszelkich imprez sportowych. A przytem państwo, któremu obce są wszelkie waśnie polityczne czy narodowościowe, — państwo, posiadające swój niezmiernie bogaty i charakterystyczny folklor.

Wszystkie te momenty musiały wycisnąć pewne piętno na audycjach radjowych. Radjo szwajcarskie — wedle określenia d-ra Kurta Schenkera, dyrektora stacji berneńskiej, — powinno być sztuką międzynarodową, kpiącą sobie z wszelkich granic politycznych czy celnych, jakiemi najeżona jest cała Europa. Ale z jednem ważnem, zasadniczem zastrzeżeniem: owa sztuka międzynarodowa „**heimatlose Kunst**“ musi być opartą jaknajściślej na nacjonaliźmie, nie w politycznem znaczeniu tego wyrazu, — lecz na właściwościach etnicznych, na tradycjach lokalnych, na sztuce i muzyce narodowej, względnie ludowej. W ten tylko sposób radjo, utrzymując nieustanny kontakt z życiem własnego narodu, będzie mogło spełnić swe zadanie kulturalne, roznosząc równocześnie po świecie chwałę i sławę swego narodu. Jak wygląda praktyczna realizacja tego programu? Marzeniem d-ra Schenkera jest utworzyć w każdem większem mieście, czy nawet wsi, doskonale zgrane zespoły orkiestrowe czy wokalne, które mogłyby co pewien czas nadawać przed mikrofonem swe oryginalne, charakterystyczne dla danej okolicy, utwory.

Drugim ważnym postulatem jest znalezienie grupy zdolnych, utalentowanych pisarzy, którzy zechcieliby przerzucić się do pisania utworów dramatycznych, nadających się do zradjofonizowania. Tutaj otwiera się dla pisarzy bardzo szerokie i wdzięczne pole działania. Zdaniem wybitnego literata szwajcarskiego H. Kessera, autora dwóch zradjofonizowanych dramatów „Strassenmann“ i „Schwester Henriette“, — punkt ciężkości leży tu w dynamice słowa, wywierającej potężne wrażenie i zdolnej przykuć uwagę słuchacza. Dużą rolę gra tu reżyserja, która powinna bacznie uważać, by każdy aktor występujący w dramacie mówionym do mikrofonu, posiadał swój charakterystyczny, odrębny **timbre** głosu, po którym słuchacz mógłby go rozpoznać równie łatwo, jak w teatrze widz rozpoznaje aktora po masce.

* * *

Drugim, niemniej ważnym terenem pracy jest reportaż, pozwalający w każdej chwili i w każdej okoliczności nawiązać i utrzymac kontakt z życiem bieżącem i jego przejawami. Zadanie to wcale nie łatwe! „Reporter radjowy musi w swych objaśnieniach być zwięzły, dokładny, interesujący, musi nawet w razie potrzeby stać się dowcipnym. Zależnie od okoliczności musi posiadać oko malarza lub uczuciowość poety, nie odbiegając jednak nigdy od objektywnej prawdy. Musi wreszcie znać doskonale temat, o którym ma mówić i liczyć się ze swymi słuchaczami, których zdolność skupienia uwagi jest zawsze, z natury rzeczy, ograniczona“.

Reportaż radjowy, ograniczony początkowo na imprezy sportowe, począł w Szwajcarji ogarniać stopniowo coraz szersze i bardziej urozmaicone domeny: turystyczny (wielkie wycieczki wysokogórskie), naukowy (zwiedzanie fabryk), literacki (zjazdy i zebrania literatów) społeczny i polityczny (obrady Ligi Narodów i konferencje międzynarodowe).

* * *

Jednak i radjo-reportaż ma swoje „ale“... Ileż trudności przedstawia np. połączenie mikrofonu umieszczonego na szczycie górskim z najbliższemi drutami telefonicznemi! Dlatego ideałem radjo-reportażu byłaby możliwość zupełnego uwolnienia się i uniezależnienia reportera od wszelkich sieci telefonicznych lub kabli elektrycznych.

W tym kierunku podjęto pierwsze, szczęśliwe próby na jeziorze Lemańskiem. Mały parowiec zaopatrzono w przenośny aparat nadawczy, pracujący na fali krótkiej 83,5 m. Słowa reportera przenosił telegraf bez drutu do stacji odbiorczej zainstalowanej na brzegu, skąd transmitowano je do radjostacji w Lozannie. Ta ostatnia stacja, po przejściu głosu przez amplifikatory, retransmitowała audycję do stacji nadawczej w Sottens, skąd audycja szła w świat, na fali normalnej długości 403 mtr.

Udałe to doświadczenie dowodzi, że z pomocą fal krótkich można nadawać radjoreportaż z każdej dowolnej miejscowości, obywając się bez drutów telefonicznych. System ten, po odpowiedniem udoskonaleniu, otworzy dla ardjo-reportaży nieograniczone możliwości, pozwalając „łapać życie na gorąco“.

* * *

Jeszcze jednem udogodnieniem poszczycić się może Szwajcarja: **Dwa**

wielkie towarzystwa radjowe „Radibus“ i „Rediffusion“ wprowadziły od roku abonament radjo-telefoniczny. Za uiszczeniem normalnej taksy radjowej (15 franków szwajc. rocznie) i drobnej dopłaty może każdy abonent słuchać codziennie trzech programów: dwóch stacyj krajowych i jednej zagranicznej.

W tym kierunku idzie abonentom jaknajdalej na rękę szwajcarska Dyrekcja poczt i telegrafów, pozwalając na posługiwanie się w tym celu słuchawką telefoniczną, za dodatkową opłatą 30 frank. rocznie. A urządzenie jest tego rodzaju, że z chwilą, gdy ktoryś z abonentów wzywany jest do rozmowy telefonicznej, głośnik radjowy zostaje na czas rozmowy automatycznie wyłączony.

System ten cieszy się w Szwajcarji ogromnem wzięciem.

* * *

Jak z powyższego szkicu wynika, Szwajcarja nie szczędzi trudów i wysiłków, by postawić swoją radjofonję na możliwie wysokim poziomie. A rezultaty osiągnięte dotychczas wskazują jasno, że wysiłki te są owocne. Radjo szwajcarskie idzie z postępem czasu, idzie z życiem i samo żyje i rozwija się nieustannie.

Lucy

—o—

„Akustyczne echa codziennego życia“

Reportaże radjowe, zwane u nas transmisjami z poza studja w sposób przyjemny i nieoczekiwany urozmaicają program radjowy. Niosą one słuchaczom echa zdarzeń odbywających się daleko, a przez element niespodzianki i braku reżyserji porywają swą bezpośredniością. Dla słuchacza, który przez prosty przekręcenie kontaktu może brać udział w rzeczywistych zdarzeniach, odbywających się w tej samej sekundzie gdzieś na drugim końcu kraju, są reportaże czemś istotnie cennem i niezwykłem. Nie trzeba podróżować na otwarcie Dworca Morskiego w Gdyni, nie trzeba być osobiście na uroczystościach ku czci Batorego w Grodnie, lub Sobieskiego w Olesku. Wystarczy usiąść na wygodnym fotelu we własnym pokoju — a można zdać sobie sprawę z przebiegu uroczystości niejednokrotnie lepiej, niż ten kto oddzielony tłumami słucha jej na miejscu.

Od początku istnienia radjofonji zdawano sobie wszędzie sprawę z ważności reportażu aktualnego w programach radjowych. Pewne duże trudności zarówno techniczne, jak i programowe uniemożliwiały początkowo częste wprowadzanie reportaży, których słuchacze wprost domagali się. Dziś trudności te zostały już przezwyciężone. Wszystkie stacje dysponują odpowiednio wyszkolonemi ludźmi, którzy umieją z talentem przeprowadzać transmisje z poza studja, wlewając w spokojny tok pracy programowej potężny strumień rwącego ciągle naprzód codziennego życia.

Reportaże łączą zainteresowania różnych dzielnic Polski, wyrabiając w słuchaczach poczucie aktualności i bliskość zdarzeń rozgrywających się o setki kilometrów od ich partykularza. Bezpośredniość wrażeń słuchowych, dawanych przez głośnik, podnieca ich czujność, a wrodzona człowiekowi tęsknota za zmiennością i nowością znajduje w słuchaniu reportaży swe aktualne ujście. Ciekawy jest wpływ reportaży radjowych na wzrost czytelnictwa gazet. Do niedawna czytanie sprawozdań dziennikarskich z różnych uroczystości, zjazdów, obchodów itp. nużyło przeciętnego obywatela obcowością tematu, miejsca i osób. Po wysłuchaniu reportażu radjowego czytelnik chwyta gazetę z większą ciekawością. Szuka w niej czegoś już częściowo mu znanego, a znajdując je uśmiecha się z zadowoleniem, gdyż ma możność skontrolowania tego co sam usłyszał z tem co widział dziennikarz.

Praca reportera radjowego jest pracą odpowiedzialną i ciężką, a reportaż radjowy jest prawdziwą sztuką. Gdyby chcieć teoretycznie rozważyć warunki idealnego reportażu główną wagę musi się zwrócić na osobę reportera. Jego indywidualność decyduje o wszystkiem, on jest bowiem oczyma wszystkich swoich słuchaczy.

Wszystko zobaczyć — wszystko przemyśleć — wszystko powiedzieć, — oto trzy etapy pracy reportera radjowego i równocześnie trzy warunki dobrego reportażu. Współdziałanie tych trzech elementów, ważne wogóle w życiu, decyduje o powodzeniu w tym typie działalności radjowej.

Niema zupełnie przesady w powiedzeniu, że reporter radjowy jest oczyma swoich słuchaczy. Słyszą oni bowiem to i tylko to co on widzi. Zdolność używania oczu jest rzeczą wymagającą specjalnego szkolenia. Każdy dziennikarz, który ma możność obserwować początku karjery któregoś ze swoich młodszych kolegów zauważył niewątpliwie ile trudności sprawia nowicjuszowi dokładne opisanie prostego zdarzenia. Zawsze jakiś szczegół zostanie ominięty, zawsze coś będzie niezauważone. A przecież reporter dziennikarski ma możność namyślenia się, przypomnienia sobie czegoś, uzupełnienia późniejszego notatek, co jest zupełnie wykluczone przy pracy reportera radjowego. Ten szybko i dokładnie musi wszystko zobaczyć, i nie tylko zobaczyć: musi chwycić oczyma sedno odbywającej się rzeczy. Patrząc na całość musi reporter umieć momentalnie rozkładać zjawisko na jego składowe części, wyniki zaś swej analizy musi umieć z powrotem złożyć w całość, aby już utrwalić tę syntezę w pamięci jako skończony i pełny obraz.

Jeśli ścisłość i dokładność patrzenia będziemy uważać za pierwszą cechę dobrego reportera, to umiejętność oryginalnego przemyślenia widzianych zdarzeń trzeba uznać za cechę drugą, może nawet ważniejszą. Umysł oryginalny może najbardziej błahe zdarzenie uczynić interesującem i ważnem. Gdy lekkość podejścia do tematu, szybkość orientacji i osobista pewność są kwestjami talentu często wrodzonego, nic nie stoi na przeszkodzie mniemać, że tylko od niego zależy dobry reportaż, bo przecież to są rzeczywiście niezbędne właściwości. Tak jednak nie jest. Reporter radjowy, który chce być słuchanym z zainteresowaniem przez ogół musi wiedzieć więcej niż przeciętny słuchacz. Dlatego niebezpiecznem jest zbytnie ufanie talentowi tam, gdzie są potrzebne pewne przygotowawcze studja. Aby móc z zupełną pewnością mówić o jakimś temacie trzeba znać go na wylot. Słuchacze nie zdają sobie często sprawy z tej ilości pracy przygotowawczej, którą włożył reporter opowiadający im ze swadą np. o pracy w fabryce lub o znaczeniu jakiejś uroczystości. Przygotowanie trwało powiedzmy dzień a reportaż pół godziny. Jednak jest to konieczne gdyż reporter, który daje niejako słuchaczowi sam ekstrakt zdarzenia, nie potrafiłby sformułować swoich myśli gdyby nie poruszał się w omawianem zagadnieniu z zupełną swobodą. Zresztą jest to zawsze kwestją pedagogicznego sumienia i poczucia kulturalnej odpowiedzialności.

Bardzo ważnym czynnikiem reportażu jest fantazja i wyobraźnia reportera. Często drobna uwaga, jakieś dowcipniejsze powiedzenie, jakaś normalnie nic nie znacząca anegdota czynią reportaż żywym i barwnym. Nic tak bowiem nie zraża słuchaczy jak chłód i oschłość, jak brak przejęcia się rozgrywającemi się przed mikrofonem zdarzeniami. Aby reportaż mógł zainteresować słuchaczy musi przedewszystkiem zainteresować wpierw samego reportera. Kwestja taktu w ujęciu niejednokrotnie drażliwych tematów i pewnej subtelności w zbieraniu materjału do reportażu, w organizowaniu małych, doraźnych rozmów z obcemi osobami przed mikrofonem, zwłaszcza z osobami np. ze sfer robotniczych lub mieszczańskich jest już chyba podstawowym warunkiem powodzenia reportera.

Trzecim bardzo ważnym elementem dobrego reportażu jest umiejętność wysłowienia tego co się spostrzegło i co się przemyślało. Reporter dla swych słuchaczy jest tylko głosem, od wymowy więc, od stylu i od brzmienia głosu zależy los reportażu. Że wymowa i styl muszą być szkolone — to rzecz jasna. Również jednak musi być starannie szkolony dla potrzeb mikrofonu głos. Trzeba umieć operować swym głosem swobodnie i pewnie. Tempo słów, skala głosu i jego najdrobniejsze odcienie muszą zgadzać się z treścią słów i z przebiegiem zdarzenia. Słuchacz, który jest pozbawiony możności zobaczenia czegokolwiek musi mieć możność odczucia za pośrednictwem głosu reportera nastroju, który panuje wśród uczestników uroczystości. Umiejętność dyskretnego zaakcentowania pewnych fragmentów jest rzeczą, którą nabywa się przez wprawę i przez krytyczne kontrolowanie samego siebie.

Za wszelką cenę musi reporter unikać luk w reportażu. Przypadkowa pauza kilku sekund, pauza, której reporter zajęty swemi myślami może nawet niezauważy, jest przykrą dla słuchaczy pustką w mikrofonie. Trzeba być zawsze w pogotowiu do powiedzenia czegoś interesującego.

Tych kilka uwag o pracy reportera radjowego powinno wzbudzić u czytelników zrozumienie dla trudnych warunków jego pracy. A poznać warunki pracy — to przecież nic innego jak najlepsza droga do zrozumienia jej wartości.

Rozgłośnie Polskie poświęcają reportażom z życia stosunkowo wiele uwagi. Jeśli nie są one jeszcze w wystarczającej mierze częste, to złożyć to trzeba na karb warunków finansowych, gdyż reportaże są audycjami bardzo kosztownemi. — Wyjazd kilku ludzi z całym szeregiem aparatów, linje telefoniczne, a często nawet budowa specjalnych połączeń kablowych, jest kosztowny. Gdy dojdziemy do tej liczby abonentów, jaką Polska powinna mieć choćby w porównaniu z Rosją lub Niemcami niewątpliwie nie będzie się działo w Polsce nic, czegoby nie można usłyszeć w Radjo. Ale to już zależne jest od abonentów.

F. P.

—o—

Ze świata książki

(Wydawnictwa dla młodzieży)

Pojawiło się ich tyle w ostatnich tygodniach, że niepodobna w jednym artykule omówić obszerniej, tak jakby na to rzetelnie zasługiwały. Wymienimy więc narazie choć kilka, odkładając dalsze na później.

Dla młodszych czytelników wydała firma wydawnicza **Gebethner i Wolff** kilka książeczek, stanowiących zupełnie nieznany u nas dotąd typ tego rodzaju wydawnictw, — odpowiadający dzisiejszym wymaganiom pedagogiki. Zamiast fantastycznych bajeczek — zgrabne wierszyki i dobrze dobrane ilustracje, zapoznające młodego czytelnika z otaczającym go, realnym światem z rozmaitemi elementami codziennego życia. Są to książeczki:

„Nasi braciszkowie“, Ewy Szelburg — Zarembiny, oraz tejże autorki **„Podróż po mieście“**. W pierwszej mały harcerz polski objeżdża cały świat, nawiązując kontakt z rówieśnikami różnych ras i narodów, przyczem dowiaduje się najciekawszych szczegółów o ich obyczajach i warunkach bytu, jak również o produkcji danego kraju. „Podróż po mieście“, pomyślana w zręcznej formie, jako objażdżka tramwajem, daje autorce sposobność do naszkicowania wszystkich, ważniejszych urządzeń i instytucyj miejskich, od szkół i fabryk aż do ogrodów publicznych.

Ten sam typ reprezentuje też książeczka St. Themersona: **„Nasi ojcowie pracują“**, gdzie mamy przegląd piętnastu najważniejszych zawodów, z któremi dziecko najczęściej ma do czynienia — z krótkiem określeniem charakteru i celu tych zajęć.

Wszystkie trzy książeczki doskonale wydane, — ilustracje czterobarwne, oryginalne, dostosowane do form dziecięcej wyobraźni. Cena stosunkowo niska, bo zł 2.50 za książeczkę.

W świat fantazji, zdrowego humoru i przemiłego wdzięku wprowadza młodocianych czytelników wydane świeżo przez Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie (J. Mortkowicza) w doskonałym przekładzie arcydzieło angielskiej literatury dla dzieci: **„Doktor Dolittle i jego zwierzęta“** głośnego pisarza H. Loftinga. Baśń tę o szlachetnym przyjacielu i lekarzu zwierząt przeczyta dziecko jednym tchem. A nauczy się z niej wiele: nauczy się rozumieć i kochać zwierzęta, które umieją odwdzięczyć się za każde dobre słowo. Bo pod płaszczykiem fantastycznej opowieści przemyca autor dużo rozumnych rad i uwag, podyktowanych z dobrego i szlachetnego serca.

Starsi chłopcy rozkoszować się będą najnowszą powieścią ich ulubionego pisarza, który, jak rzadko kto, umie trafić do serca i fantazji swych czytelników. Kornela Makuszyńskiego **„Skrzydlaty chłopiec“** (wyd. Gebethner i Wolff), to rzewna, głęboko poetycka, a zakraszona perełkami humoru opowieść o biednym chłopcu Ignasiu i jego przezacnym opiekunie, poczciwym Raczku. Opowieść, budząca w czytelniku zapał i podziw dla naszego lotnictwa, zawsze jednako aktualna i zawsze też będzie niewątpliwie równie chętnie i chciwie czytana, jak każde dzieło Makuszyńskiego. Doskonałe, oryginalne ilustracje M. Byliny dostosowane znakomicie do tekstu, są niemałą ozdobą tej ładnej książki.

W inny świat wprowadza czytelnika Jim Pocker swą powieścią **„Zdzich szuka ojca“** (wyd. Gebethner i Wolff). Autor, znawca i miłośnik morza, opisuje niezwykłe przygody bohatera, małego Zdzicha, który uszedłszy ze Sowietów do Polski wyrusza następnie na poszukiwanie swego ojca, więzionego aż na wyspach Sołowieckich. Jakich niezwykłych przygód doświadcza po drodze, jak dzielnie stawia czoło przeciwnościom, jak potrafi w każdej sytuacji znaleźć wyjście zgodne z pojęciem honoru i szlachetnej ofiarności, — o tem wszystkiem opowiada autor w słowach prostych, w sposób interesujący. Umie też wpleść w opowiadanie dużo ciekawych szczegółów o naszem morzu i naszej flocie dzięki czemu książka spełnia też swoje zadanie propagandowe. Dwubarwne liczne ilustracje A. Czechowskiego przyczyniają się jeszcze do podniesienia wartości książki, wydanej bardzo starannie.

Młodzież dorastająca, zwłaszcza starsze panienki powitają niewątpliwie z radością pojawienie się oczekiwanej dawno trzeciej powieści z cyklu „Ania z Lechickich Pól“ znakomitej autorki „Pożogi“, Marji Dunin-Kozickiej. Po pierwszych dwóch częściach „Dzieciństwo“ i „Młodość“ wydał obecnie Dom książki polskiej w Warszawie trzecią część, zatytułowaną **„Miłość Ani“**. Stanowi ona dalszy ciąg dwóch poprzednich, ale jest sama dla siebie zamkniętą całością, — a opisuje przeżycia Ani, najpierw jako studentki w Grenoble, a następnie jako pracowniczki w warszawskich instytucjach społecznych, — do dnia ślubu z ukochanym człowiekiem.

Życie dzisiejszej młodzieży akademickiej, opieka społeczna, stosunki społeczne w Polsce i szara praca codzienna na wyznaczonym posterunku, — oto tło tej powieści, opracowanej niezwykle starannie, powieści o najszlachetniejszej tendencji moralnej. Przeczyta ją z zainteresowaniem i pożytkiem również i dorosły.

Książka wydana bardzo starannie, ozdobiona wielobarwną okładką St. Norblina, nadaje się znakomicie na upominki.

O innych nowościach drugim razem.

K. RYCHŁOWSKI

Radjostacje europejskie w dniu Bożego Narodzenia

Bardzo ciekawą audycję w Dzień Bożego Narodzenia przygotowała Komisja wymiany programów w łonie międzynarodowej Unji Radjofonicznej. Komisja ta, której przewodniczącym jest dyrektor Polskiego Radja Dr. Chamiec, ma już za sobą piękne karty w organizowaniu poważnej liczby koncertów międzynarodowych, które łączą w dziedzinie czystej sztuki powaśnione narody. Boże Narodzenie które czczone jest na całym świecie pod hasłem „Pokój ludziom dobrej woli“ zbliży raz jeszcze wszystkie państwa europejskie we wspólnej audycji. Kolejno przemawiać będą w eterze następujące państwa: Anglja, Austrja, Belgja, Czechosłowacja, Danja, Francja, Hiszpanja, Holandja, Irlandja, Jugosławia, Łotwa, Marokko, Rumunja, Niemcy, Polska, Szwajcarja, i Włochy.

Każdy z wymienionych krajów przygotował i przesłał do wszystkich innych Państw płytę na której zostały nagrane nazwa kraju, zdanie „Chwała Panu na Wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli“, charakterystyczne dla danego kraju dzwony lub fanfary, wreszcie pieśń religijna lub kolęda. Z płyt tych każdy Broadcasting ułoży specjalną audycję między godziną 18-tą a 20-tą. Polskie Radjo nada tę audycję dnia 25 grudnia o godz. 7-ej wieczorem.

Jan Reszke

Kto na Anglię, ten zapewne spotkał się z bardzo rozpowszechnionemi papierosami, zwanemi **De Reszke Cigarettes**. Nie każdy dziś wie, skąd wzięła się ich etykieta. Podobno sławny spiewak Jan Reszke, który je palił i pozwolił tak ochrzcić, pod koniec życia pokazał komuś ich pudełko i rzekł smutnie: „Oto jedyna rzecz, która będzie mnie przypominała". Nie było za czasów jego tryumfów operowych gramofonu...

Niedawno ukazała się w Londynie obszerna monografja o Reszkem (Jean de Reszke i wielkie dni opery) przez Klarę Leiser. Dobrze się stało, że w pamięci angielskiego świata ożyje ten wielki śpiewak polski, który pod koniec XIX w. cieszył się w nim taką popularnością.

Ojciec Jana był niemieckiego pochodzenia, zachował nawet wyznanie protestanckie. Z zawodu był hotelarzem. Głos i zdolności muzyczne odziedziczył Jan, jak i dwoje jego rodzeństwa po matce, hrabiance małopolskiej. Edward osiągnął prawie taką samą sławę jako śpiewak, Józefina zbierała laury do r. 1855, w którym wyszła za mąż. Lecz chlubą rodziny był przedewszystkiem Jan, prawdziwy król tenorów.

Bracia przygotowywali się pierwotnie do praktycznych zawodów, ale gdy okazało się, że mają wielkie zdolności śpiewackie, Jan rzucił prawo. Edward agronomję. Zamożny ojciec nie skąpił grosza na studja. Lecz Ciaffei, pierwszy mistrz Jana, popełnił omyłkę, kształcąc go jako barytona. Pierwszy występ nie zwrócił na młodego artystę uwagi publiczności. Śpiewał w tym okresie Don Juana i Walentego w „Fauście".

Zorjentował się dopiero po pięciu latach i wówczas, mając lat 29, zadebiutował jako tenor w „Robercie Djable" — Alicję śpiewała Józefina. I tym razem nie poznano się na Janie. Dalszych pięciu lat było trzeba, aby przełamać lody. Sprawił to w r. 1884 jego Jan Chrzciciel w „Herodjadzie" Massenet'a. Śpiewak nie ufał sobie i miał wielką tremę. Zachodziła obawa, że ucieknie zamiast wyjść na scenę. Brat i inny artysta zamknęli go w garderobie, ubrali przemocą i w stosownej chwili odstawili na miejsce. Ledwie dał się wypchać zza kulis. Lecz jego głos, wspaniały i świetnie wyszkolony wziął szturmem publiczność, a do zupełnego tryumfu przyczyniła się także postawa i męska uroda.

Odtąd Reszke był ulubieńcem Paryża i Londynu. Śpiewał w Fauście partję tytułową lub Mefistofelesa, świetny był jako Romeo. Krytyka zachwycała się nim — z wyjątkiem Bernarda Shaw, który w tym czasie pisał recenzje muzyczne. Zarzucał on Reszkemu zbytnią słodycz i czułostkowość. Ale odnosiło się to nietyle do śpiewaka, ile do jego repertuaru. Ideałem Shaw'a był Wagner.

Lecz i Reszke miał wkrótce ulec urokowi niemieckiego mistrza. Wróciwszy z Bayreuth w r. 1888, wziął się do pracy nad partją Waltera von der Vogelweide w „Śpiewakach norymberskich" i wystąpił w niej w lecie roku następnego. Teraz i Shaw nazwał go „boskim młodzieńcem".

Reszke odziedziczył po ojcu niemiecką sumienność i pedanterję. Jego partje był wypracowane aż do najdrobniejszych szczegółów. Gdy w r. 1895 miał śpiewać Tristana w Nowym Yorku, zamęczał partnerów i orkiestrę niezliczonemi próbami. Ale też wynik był świetny. Z racji jego Tristana pisał Times o „wykonaniu niezrównanej szlachetności, siły, namiętności i czułości".

Raz zakosztowawszy Wagnera, został Reszke przy nim. Zachwycał publiczność jako Zygfryd i jako Lohengrin. Kosima Wagner zapraszała go gorąco do Bayreuth. Nie mógł się jednak zdecydować na poświęcenie aż sześciu tygodni, czego wymagał udział w festiwalu. Podobno jednak wahania jego rozstrzygnęła księżna Walji Aleksandra, żona późniejszego Edwarda VII, mówiąc: „No, przecież nie pojedzie pan do Niemiec śpiewać temu wstrętnemu staremu" t. j. Wilhelmowi II, który zresztą był jeszcze dość młody. I Reszke nie pojechał.

Był on ulubieńcem angielskiej rodziny królewskiej. Śpiewał parokrotnie w Windsorze, między innemi na 80-te urodziny Wiktorji. Przybyli wówczas wraz z bratem do zamku już w kostjmach, wywołując niemałą konsternację dworzan.

Po r. 1900 głos Reszkego zaczął się wyczerpywać. Po niezwykle udałym występie w „Pajacach" w r. 1902 śpiewak wycofał się z opery. Osiadł w Paryżu i udzielał lekcyj. Nie gardziła niemi i sama Adelina Patti, wstydziła się jednak brać je osobiście, posyłała więc zaufaną uczenicę, która bezpośrednio po powrocie od Reszkego powtarzała jej wszystko, czego się nauczyła.

Jan Reszke umarł w Nizzy w r. 1921, w ośm lat po Edwardzie. **A. E.**

—o—

O wiwisekcji

W ostatnich czasach wzmógł się znów silnie ruch antywiwisekcyjny. Na łamach pism codziennych i fachowych toczy się na ten temat żywa dyskusja, a poszczególne państwa (obecnie świeżo Niemcy) wydają specjalne ustawy, ściśle normujące i ograniczające praktyki wiwisekcji.

W sprawie tej zabrał świeżo głos na łamach „Polskiej Gazety Lekarskiej" dr. Władysław Szumowski z Krakowa w dłuższym artykule, z którego przytaczamy kilka ciekawych wyjątków.

Słusznie zauważa autor, że ze wszystkich praw jakie człowiek, na mocy odwiecznego naturalnego porządku rzeczy, posiada w stosunku do zwierząt, prawo używania ich do celów naukowych jest bezwątpienia najszlachetniejszem.

O ileż wyżej stoi uczony, przeprowadzający doświadczenia na zwierzęciu, od sportowca, polującego na zwierzynę wyłącznie dla przyjemności-zabijania, lub spożycia smakowitego kąska upolowanej sarny czy bażanta!

Tutaj motywy czysto egoistyczne, przyziemne, — tam eksperymentowanie ze wzniosłą myślą odkrywania praw przyrody, niesienia pomocy cierpiącej ludzkości.

Cała nowoczesna medycyna, fizjologja, chirurgja, organoterapja, toksykologja, bakterjologja i seroterapja zawdzięczają swój świetny rozwój przedewszystkiem doświadczeniom, przeprowadzanym na zwierzętach. A czyż cała dzisiejsza wiedza o szczepieniach ochronnych i ich błogosławionych dla ludzkości wynikach nie wzięła swego źródła właśnie z tych doświadczeń?

Taksamo niepodobna sobie wyobrazić, jaką drogą możnaby wypróbować zabójcze działanie rozmaitych trucizn i gazów trujących, gdyby uczeni nie mieli odpowiedniego materjału zwierzęcego do celów eksperymentalnych.

Dzięki wiwisekcjom medycyna zdołała poznać rolę i znaczenie tak ważnych dla życia organów jak tarczyca, trzustka, nadnercze. Dzięki niej zdołał w XVII. wieku Harvey rozwiązać zagadnienie obiegu krwi w organiźmie. Dzięki wiwisekcjom wreszcie ustalono, że dopuszczalne są u ludzi takie ciężkie, a decydujące wielokrotnie o dalszem życiu, operacje, jak wycięcie nerki, krtani lub żołądka.

Jednem słowem, — niema prawie żadnego działu medycyny, któryby mógł obejść się bez wiwisekcji, przeprowadzanych w imię ścisłej nauki, a dla dobra cierpiącej ludzkości.

A jeżeli znajdują się ludzie, mający pewne skrupuły, czy praktyki wiwisekcyjne nie stoją w sprzeczności z przykazaniami Bożemi i uczuciami chrześcijańskiemi, godzi się wskazać, że Najwyższy autorytet, sam Ojciec święty, w sprawie tej wypowiedział się zupełnie jasno. Dnia 22 września 1930 na specjalnej audjencji udzielonej 250 członkom kongresu lekarzy i historyków medycyny wygłosił Ojciec św. długie przemówienie, w którem podkreślił wielką doniosłość badań eksperymentalnych i nowoczesnych odkryć. „Jakżebyśmy mogli", — mówił Ojciec św., — nie wspomnieć o tych pięknych stronicach historji, w tworzeniu których sami osobiście braliśmy udział, — o triumfalnych sukcesach Pasteura, o zwycięskiej walce z chorobami, chorobą śpiączki, chorobą raka, chorobami płuc...".

A przemówienie Swe zakończył Pius XI udzieleniem zebranym swego błogosławieństwa, mówiąc:

tutto ció i presenti portavano nel pensiero e nel cuore, e desideravano, fosse benedetto".

Chińska powieść

Jaka ta Europa młoda! Początki jej powieści — o ile mamy na myśli rzeczy, nadające się jeszcze do czytania — przypadają na początki wieku XVIII. Tymczasem powieść chińska, historyczna zarówno, jak i obyczajowa, kwitła już wtedy, kiedy u nas kto nie miał zamiaru zostać księdzem, nie próbował uczyć się pisać i czytać.

Szi Naj-an stworzył swe arcydzieło w XIII. wieku. W krajach europejskich w owym czasie dopiero rodziły się opowieści o banitach-rozbójnikach, strasznych dla dumnych i silnych, a miłosiernych dla maluczkich i słabych. W Chinach były one już tak popularne, że Szi-Naj-an osnuł na nich olbrzymi utwór prozaiczny, „Historję brzegów rzeki".

Jego Robin Hood, Rinaldo czy Janosik zwie się Sun Czjan. Jest pierwotnie pisarzem. Biegle włada piórem, umie też chronić ludzi przed zbytnią srogością urzędnika, któremu jest dodany do boku. Kocha się w szermierce na kije, ale umie też obchodzić się z niebezpieczniejszą bronią. Słynie z miłosierdzia i chętnie śpieszy biednym z pomocą, co mu nawet zjednywa przydomek „Deszczu w porę padającego". Gorąco kocha starego ojca, który uczy go chodzenia prostemi drogami i posłuszeństwa prawu.

Jakimże sposobem ten mąż sprawiedliwy zostaje zbójcą? Szi Naj-an nie byłby powieściopisarzem, gdyby sobie nie umiał poradzić z tą trudnością. Od czegóż kobieta? Sun Czjan zabija zdrajczynię i musi uciekać przed ręką sprawiedliwości. Nigdy zaś nie gardził biedakami i ludźmi, jak on obecnie pokłóconymi ze społeczeństwem, „dobrymi chłopami z nad rzeki i jeziora". Znajdzie u zbójców serdeczne przyjęcie i zostanie ich wodzem.

To główny bohater. Obok niego jednak mamy trzydziestu pięciu innych. Niezliczone epizody przedstawiają nam ich życie, doprowadzając każdego do konfliktu ze społeczeństwem i nad brzegi rzeki Huaj, aż będzie razem trzydziestu sześciu zbójnickich królów z Sun Czjanem na czele. Potędze ich ulegnie kilka prowincyj Niebieskiego Państwa, stolica ich, będąca równocześnie skarbcem, będzie niezdobytą twierdzą. Zaniepokoi się ich czynami sam syn nieba i wyśle przeciw nim swych wojowników, strojnych w złoto i purpurę. Lecz zbójnicy górują i wspaniałością strojów i siłą i odwagą. Gdzie tam równać się z nimi cesarskim żołnierzom?

Oprócz trzydziestu królów z nad rzeki Huaj przywodzi zbójcom siedemdziesięciu dwóch mniej dostojnych, ale również znakomitych mężów. I z ich przeszłości dowiadujemy się tego czy owego. Widzimy, że autor ma dość sposobności, aby utwór uczynić wielką epopeją życia chińskiego. Pełno tu obrazków rodzajowych, przygód miłosnych i scen, związanych z ustrojem feudalnym. Autor kreśli wszystko pewną ręką, z prostotą, przypominająca późniejsze o kilka wieków prymitywne powieści hiszpańskie, francuskie czy angielskie. Lecz nie jest bynajmniej naiwny. Odznacza się humorem, który często wskazuje mu drogę satyry. Dużo w powieści sylwetek nieuczciwych sędziów i urzędników, obłudnych kapłanów, chełpliwych a tchórzem podszytych oficerów, cnotliwych z pozoru a rozpustnych kobiet i t. p. Przy lekturze Sui Naj-ana cisną się człowiekowi, obeznanemu z powieścią narodów europejskich, na usta wyrazy **Tout comme chez nous.**

Arcydzieło chińskiej beletrystyki przełożyła Amerykanka Pearl Buck i wydała je obecnie w Londynie (Methuen, 1933) w potężnym tomie, obejmującym blisko 1300 stron druku. Nie zupełnie potrzebnie zmieniła tytuł, który u niej brzmi „Wszyscy ludzie są braćmi". Ma to być zapewne wskazówka dla europejczyka, aby na postaci Szi Naj-ana patrzył jako na ludzi z krwi i kości. Niewiadomo, ilu dowolności dopuściła się pozatem tłumaczka. W każdym razie powieść chińska w jej przetworzeniu nie uroniła uroku prostoty i czyta się bardzo przyjemnie. **A. E.**

SUMIENNIE BADAŁ PULS

W Belgradzie aresztowano pomysłowego złodzieja, który wszedł do szpitala, utrzymywanego przez państwo, służbie, która chciała go zatrzymać, wyjaśnił, że jest nowo mianowanym lekarzem i zaczął badać chorych, przyczem ściągał zegarki, noszone na rękach, badając puls pacjentów.

Jak budowano zamki w dawnej Polsce?

Pisarz arabski Al-Bekri mówi, że Słowianie (z wieku X), chcąc budować zamek, ogród, „kierują się ku łąkom, otoczonym wodami i trzciną, tam oznaczają miejsce okrągłe, albo czworokątne, wedle kształtu i rozmiarów, jakie chcą nadać grodowi. Naokoło wykopują rów, a ziemię z niego sypią na wał, utwierdzając wał deskami i kołami, póki ściana nie dojdzie do zamierzonej wysokości. Odmierza się zatem i brama z dogodnej strony, a do niej podchodzi się po drewnianym moście".

Były jednak podania z czasów zamierzchłych o budowaniu zamków na wysokich górach. Np. o Łysej-górze (w wojew. Sandomierskiem) pisze Długosz: „Jeżeli wierzyć można staremu podaniu gminnemu, sławna była ona niegdyś olbrzymami, który na niej zbudowali zamek, jak świadczą ogromne kupy gruzów i głazów. Teraz znakomita mieszkaniem mnichów zakonu ś. Benedykta. Niewiadomo, który z olbrzymów i kiedy zbudował ów zamek z tak długiemi ścianami, z tak wielkim trudem. Potwornych zwalisk tej olbrzymiej budowy, ogromnych kup gruzów i kamieni, ani ciernie, ani kolczyste rośliny, ani gęste drzewa i mchy zakryć nie mogły".

To opowiadanie Długosza przypomina górę zamkową w Liszkowie nad Niemnem, na której stał kamienny zamek litewski w XIV wieku, a niezależnie od szczątków jego baszt, wierzchołek góry, jak go widzieliśmy w roku 1870, był zarzucony bezładnie wielkimi głazami polnymi, które tylko ręka ludzka z wielkim trudem nagromadzić tam mogła, a które jednak nie mogły należeć do tych murów, jakich szczątki pozostały z XIV w. Głazy na Łysej-górze były tam niewątpliwie ręką natury dane, co jednak nie przesądza, że mogły jak w Liszkowie użyte być do czegoś w czasach przedhistorycznych.

O Bolesławie Chrobrym pisze Długosz, że „zamierzywszy położyć tamę napaściom od stron ościennych, pozakładał liczne na pograniczach warownie (grody) i silnemi je załogami poosadzał, a na ich utrzymanie naznaczył roczny dowóz żywności z wsi okolicznych. Tę daninę Polacy nazwali stróża, ponieważ składana była wojsku strzegącemu granic od napaści".

Napady zaś te były przez sąsiadów czynione nietylko lądem, ale i wodą. Pisze np. Długosz, że Jarosław, książę Rusi, najechał Mazowsze w roku 1038 dwiema drogami: lądem i wodą (zapewne rz. Bugiem). Stąd wynikła potrzeba budowania „grodów" nad rzekami, a niektóre miały wybitny charakter takich strażnic, np. gródek pod wsią Samborami przy ujściu rz. Biebrzy do Narwi. Z czasu wypraw Bolesława Śmiałego na Ruś kronikarze polscy wzmiankują o silnych zamkach: w Przemyślu, Włodzimierzu, Chełmie, Wołyniu i Kijowie. Zamki te budowane były z dębów, na wzgórzach, obronne głębokiemi fosami i wysokimi wałami.

Santok od granic pomorskich uważany był za wrota do Polski. Z tego też powodu buntujący się Pomorzanie wybudowali naprzeciw Santoka drugi zamek z kłód dębowych i umocnili wałami i wądołami, a to w takiej bliskości, że w obu zamkach rozmawiający wazjemnie słyszeć się mogli. Gdy jednak dowiedzieli się Pomarzanie, że idzie na nich młody Bolesław (Krzywousty), syn Władysława Hermana, podpaliwszy swe dzieło, w nocy uciekli. W r. 1107 Bolesław Krzywousty, podstąpiwszy pod Białogród na Pomorzu, kazał sporządzić szopy, podsuwać wieże i taranami tłuc mury miejskie i baszty, wądoły zawalać faszyną, a gdy wszystko przygotwano do szturmu, podprowadził wojsko i przez wyłomy w murach wdzierać się kazał do miasta, rozstawiwszy wokół łuczników, aby nacierających zasłaniali. Sam poskoczył do głównej bramy i przebywszy wały i okopy, tarczą tylko zasłoniony, począł wyrąbywać wrota, nieodstraszony, ani staczanymi z góry głazami, ani grotami gęstych strzał, ani wylewaną przez oblężonych wrzącą smołą i ukropem. Gdy zgruchotano taranami mur potrójny, otwarto zwyicęzcom wstęp do miasta. W tymże roku Krzywousty, zdobywając Czarnków na Pomorzanach, zbudował 4 wieże wyższe od murów miasta i twierdzy. Długosz o oblężeniu polskiego miasta Głogowy na Śląsku przez cesarza Henryka V w r. 1109 tak pisze: „kazał onych (polskich) zakładników powystawiać na na komorach urządzonych z tarcic, które rycerzy szturmujących zwykle zasłaniają". Głogowianie miotali z twierdzy drągi, pociski i staczali na dół gęsto kłody. Wdzierających się po drabinach rażono z góry kamieniami, polewano wrzącą smołą i ukropem, spychano na łeb do przykopów. Zwykle w owej epoce niewiasty podawały mężom rozmaite pociski, kamienie, smołę wrzącą i ukrop. Obiegający zataczali kusze wielkie, do tłuczenia murów i strażnic, przystawiali wyższe nad mury wieże, pozawalawszy wprzód przekopy ziemią i kłodami drzewa, i z wież miotali gęste strzały nie dozwalające utrzymać się oblężonym na blankach, aby taymczasem obiegający mogli się na nie wedrzeć. Usiłowaniem oblężonych było podpalenie tych wież za pomocą suchego drzewa oblewanego topioną słoniną, masłem, smołą a nieraz zdarzało się kilkakrotnie wieżyc takich spalenie i odbudowywanie. Ostrokoły stawiano jedne pionowo, drugie poziomo (w połowie zewnętrznej pochyłości wałów), opalając końce zakopywano w ziemię. Gdy Bolesław, książę Mazowsza, i Henryk sandomierski (synowie Bolesława Krzywoustego) schronili się do brata swego Mieczysława Starego i zamknęli z nim w zamku poznańskim, brat ich najstarszy Władysław otoczył zamek ten gęstą grodzą wież i ostrokołów, aby żaden z oblężeńców nie mógł ratować się ucieczką. Rusini, oblegający w r. 1209 zamek halicki, w którym bronili się Polacy i Węgrzy z Kolomanem, podkopawszy się pod tylną bramę, której nie pilnowano dość bacznie, tym sposobem twierdzę opanowali.

Długosz powiada, że pierwszy z książąt polskich Konrad użył kościołów i klasztorów, jako twierdz, gdy chcąc opanować księstwo Krakowskie, poobsadzał w r. 1235 rycerstwem mazowieckiem: kościół kolegjacki w Skarbimierzu, klasztor Jędrzejowski, Prędocin i św. Jędrzeja w Krakowie. Zamki czyli grody bywały, albo większe, np. pierwotny w Santoku „jako przeznaczony do zachowania stad bydlęcych szlachty i wieśniaków", albo mniejsze książęce, służące tylko dla załóg książęcych. Bolesław Pobożny ks. kaliski i wielkopolski dla zasłony od napaści Sasów i Konrada brandeburskiego, w miejscu dawnego większego zamku santockiego, zbudował mniejszy książęcy „w ciągu niespełna miesiąca", przy pomocy swego wojska, które rzemieślnikom wszystkiego pod rękę dostarczało. Widoczne jest z tej relacji kronikarskiej, że do budowy grodów używano oddzielnych rzemieślników. Gdy r. 1255 zamek Nakło opanowali silną załogą osadził Mszczuj pomorski, Przemysław poznański wybudował „w dniach kilku nową twierdzę naprzeciwko Nakła od zachodu, otoczył waałmi i wądołami i również silnie osadził rycerstwem, aby Pomorzanom broniło wyjścia i przystępu do starego zamku. Gdy w r. 1270 Bolesław Pobożny ks. kaliski pojechał odwiedzić Bolesława Wstydliwego do Krakowa, Otto margrabia brandeburski, korzystając z jego nieobecności, w ciągu miesiąca lutego zbudował w Santoku zamek drewniany przy kościele św. Jędrzeja. Bolesław, powróciwszy, widząc ten gwałt zuchwały, zbudował nawzajem w ciągu dni 8-miu zamek Drdzen i ludem zbrojnym osadził, w celu odebrania zamku santockiego. Jako porę najlepszą do zdobywania zamków uważano zimę i lato, kiedy otaczająca woda, albo zmarznie, albo wyschnie. Dla szturmujących ważną ochronę stanowiły mocne i duże tarcze, z których robiono sobie rodzaj sklepienia nad głowami przypartego do ścian zamkowych, gdy takowe rąbano, podpalano lub wdrapywano się na nie. Kiedy w r. 1310 Krzyżacy zamku Świecie zdobyć na Polakach nie mogli, przekupili niejakiego Jędrzeja Cedrowicza, który w nocy sprężyny u kusz i inne narzędzia wojenne popsowawszy, zbiegł do mistrza krzyżackiego. Wówczas oblężeni weszli w taki układ z Krzyżakami, iżby wolno im było posłać do Władysława Łokietka z prośbą o odsiecz, która jeżeli w ciągu miesiąca nie nadejdzie, wówczas ustąpią z zamku. Łokietek przebywał gdzieś daleko i Jędrzej, kasztelan rosperski, wyprawiony z odsieczą nie przybył na umówiony termin, oblężeńcy więc z płaczem opuścili broniony przez siebie zamek po 10 tygodniach oblężenia. Czasami zdobyto zamek, a nie zdobyto miasta; tak w roku 1331 Krzyżacy w wojnie z Łokietkiem zdobyli zamek kaliski, a od miasta ze znaczną stratą zostali odparci. Zamek kowieński zniszczony przez Krzyżaków, Litwini roku 1364 w kilku dniach odbudowali z drzewa i umocnili zasiekami, nadto most na Niemnie, główną obronę miasta pomimo znacznej głębokości i bystrości tej rzeki posiawili. Kazimierz Wielki, nie burząc dawnego drewnianego zamku we Włodzimierzu na Wołyniu, począł murować z cegieł nowy zamek. Trzystu ludzi przez 2 lata zwoziło nań wapno, cegłę, kamienie i drzewo. W ciągu tej roboty, jak zapewnia Długosz, wyłożył król przeszło 3000 grzywien szerokich groszy (czyli 1500 funtów srebra) i jeszcze umierając pamiętał o tym zamku, na 4 dni bowiem przed zgonem kazał dać księdzu Wacławowi z Tęczyna, który był budowniczym zamku, 600 grzywien szerokich groszy na ukończenie go. Kiejstut z Lubartem, dowiedziawszy się o śmierci Kazimierza, zamek ten silnem oblężeniem ścisnęli i zdobywszy, zrównali z ziemią, zachowując tylko stary drewniany, który silną załogą litewską opatrzyli.

O tymże królu pisze Długosz.

„Kazimierz Wielki ziemię Podolską wydarł Tatarom i przez długi czas spokojnie ją dzierżąc pobudował w niej wiele zamków murowanych i drewnianych, jako to: Kamieniec, Chocim, Czeczyn, Bakotę, Bracław, Międzyborze i inne".

Niektóre z miast ówczesnych miały po dwa zamki, np.: Lwów, Głogów nad Odrą, Opole śląskie, inne po jednym zamku, a do wyjątkowych miast należał Włocławek, nie posiadający żadnej warowni. Do przedniejszych zamków na aMzowszu zalicza Długosz pod 1355 rokiem pięć: Płock, Czersk, Rawę, Liw i Gostynin. Pod rokiem 1332 twierdzi tenże historyk, iż Władysław Łokietek, wkroczywszy do Wielkopolski, której książęta nie chcieli uznać jego władzy, „zdobył i spalił przeszło 50 warowni (w dzielnicy poznańskiej i kaliskiej). Magnaci posiadali po kilka zamków. Piotr Święca, kanclerz i starosta ziemi Pomorskiej w końcu XIII wieku, nazywany jest przez kroniki „panem 9-u grodów".

Wiele zamków dla obrony ludności w swoich dobrach wznosili biskupi. Tak np. Florjan, biskup krakowski od r. 1368 do 1381, zbudował zamek w Bodzentynie i miasteczka Bodzentyn i Iłżę murami i wieżycami otoczył. Jarosław, arcybiskup gnieźnieński (zmarły r. 1376), powznosił zamki w Łowiczu, Opatowie, Uniejowie, Kamieniu, kościoły murowane zbudował w Gnieźnie, Uniejowie, Kurzelowie, Opatowie i Kaliszu, a dworce biskupie w Gnieźnie, Łęczycy, Wieluniu i Kaliszu.

Papież Inocenty powiada w roku 1357, że kościół płocki „ma przyłączone do siebie niektóre zamki, twierdze i warowne miejsca (castra, muniliones et loca fortia), dla obrony wiernych chrystusowych od ościennych pogan i że ci słudzy chrystusowi potrzebują takiego w swoim kościele pasterza, któryby wiernym był i miłym królowi, a któryby rzeczone zamki, twierdze i warownie chciał i zdołał przeciw napadom nieprzyjacielskim w wiernej chować straży".

Kazimierz Wielki dał świetny początek stawiania zamków murowanych, a doba jagiellońska była świadkiem zamiany zamków drewnianych na murowane w całym kraju. Jaśko z Oleśnicy, mianowany przez Jagiełłę w roku 1391 wielkorządcą litewskim, zasłania zamek wileński przeciw Witoldowi i posiłkującym go Krzyżakom porobieniem zasieków i kobylic, czyli szranków, które Długosz zowie. srzanky, schranki, kobylenye, kobilyenie. Gdy mury zamkowe pociskami z dział krzyżackich zostały wówczas zrujnowane, starosta wileński Klemens kazał wyłomy zawieszać skórami bydlęcemi, aby oblężeńców od grotów nieprzyjacielskich zasłonić. W przywileju horodelskim z roku 1413 czytamy, że panowie litewscy obowiązani będą sposobić drogi do budowy zamków.

Na Podolu słynęły wówczas 4 główne zamki królewskie: Kamieniec, Smotrycz, Skala i Czerwonogród (Długosz t. V, str. 391). Przy zamku na górze, który zwano „wysokim", istniał zwykle u podnóża góry zamek niższy. Takie zamki istniały obok siebie w Wilnie, Trokach i Lwowie. Gdy Jagiełło oblegał r. 1422 zamek krzyżacki w Gołubiu, Krzyżacy, mając konie w zamku niższym, pozabijali je, aby się w ręce polskie nie dostały. W tymże roku gdy wysłany przez Witolda do Czech z silnym oddziałem Zygmunt Korybutowicz (bratanek Jagiełły) oblegał warowny Karlstein (Karolowytyn), dla zmuszenia załogi do poddania się, kazał wyrzucić do wnętrza twierdzy około 2000 garnków, czy też kubłów napełnionych ścierwem zdechłych zwierząt i odchodami swego wojska, że aż oblężonym od tego powietrza — jak twierdzi naiwnie Długosz — zęby chwiały się lub wypadały. Najpotężniejsze z zamków krzyżackich były Marjenburg i Człuchów, ale i o Chojnicach pisze Długosz pod rokiem 1433, że „w mieści tem tak wielki był dostatek wszystkich rzeczy potrzebnych do wytrzymania oblężenia, taka mnogość kusz i dział do obrony, mury nakoniec tak silne i wieże tak liczne, że wszelkie usiłowania Polaków obiegających spełzły wówczas na niczem". Tu opisuje Długosz szczegółowo, jak Polacy robili miny podziemne, usiłując wysadzić mury prochem.

W r. 1464 Gdańszczanie w czasie wojny z Zakonem przez 26 tygodni oblegali Krzyżaków w Pucku.

Panowie śląscy, niemcząc się i naśladując szlachtę niemiecką, porobili z zameczków swoich na Śląsku przy granicach polskich gniazda zbójeckie, z których rozbojami na gościńcach i łupieżami stron wielkopolskich i krakowskich niepokoili szlachtę i lud wiejski tamtejszy. Takiemi gniazdami łotrzyków były zamki Gorzów i Cieszyn, które za czasów Władysława Warneńczyka zostały przez szlachtę wielkopolską zdobyte, spalone i zburzone. Drugą podobną wyprawę opisuje Długosz pod rokiem 1455, w której burgrabia wieluński przy pomocy Ostroroga wojewody kaliskiego, Zaręby starosty wieluńskiego, mieszczan okolicznych i czeladzi biskupów gnieźnieńskiego i włocławskiego ścisnął oblężeniem i zdobył zamek w Kępnie w ziemi Wieluńskiej, zagrabiony podstępnie przez słynnego awanturnika i grabieżcę śląskiego Jana Świeborowskiego. W herbach dwuch miast polskich znajdujemy zamek, a mianowicie w herbie Międzyrzecza zamek czterobasztowy i w herbie miasteczka Mieszkowa — trzybasztowy. W archiwum jeżewskiem posiadamy akta urzędowe z lat 1827 i 1828, obejmujące opisy wszystkich starych zamków i ich rozwalin w granicach Królestwa Kongresowego, sporządzone przez ówczesne Komisje wojewódzkie.